№ 38 Piątek, dnia 18 Czerwca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 6 (18) Czerwca 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE” wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
” ” na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

MARZENIE.

Jak słodka cisza zaległa w koło...
Tylko tam zdala po szarym lesie
Echo dźwięk jakiejś piosenki niesie
Co z ust pasterki płynie wesoło.

* *
*

Słowik z kochanką, w uroczej wiośnie,
Szepce cichutko, szepce miłośnie
A na niebiosów jasnym błękicie
Gwiazdy na siebie mrugają skrycie.

* *
*

I dusza moja w nieznane światy
Wybiega hyżo: oh! tak w marzeniu
Jakieś nie z ziemi tej zrywa kwiaty
I tonie w słodkiem szczęścia pragnieniu.

* *
*

Więc z nieba taką ja miłość marzę,
Która wyjaśni, wypiękni ducha,
Która poświęceń drogę ukaże
Sercu, co mowy jej rade słucha.

* *
*

Zapomnę wtedy, żem ziemi dziecię
Że kwiatek serca mróz zważyć może,
Bratniego ducha ukocham w świecie
I dwa te duchy oddam ci Boże!

* *
*

W jeden je wieniec razem uplotę
Jak wonne kwiatki, rzewne westchnienie,
Jak dwa ogniwa, błyszczące, złote....
Oh! to jest skarb mój—moje marzenie!

Stanisława.

W sprawie sierocej.

Dla ludzi pracy, dla tych, którym głowa lub ręce muszą służyć jako środek utrzymania siebie i rodziny, kwestya przyszłości jest jednym ze snów przykrych i męczących.

Nieraz pracownik powróciwszy wieczorem do domu, spogląda na żonę, z którą lat kilkanaście szczęśliwie przepędził, na gromadkę dzieciaków wesołych i zapytuje w duszy sam siebie co się stanie z temi ukochanemi przez niego istotami, gdy śmierć go zaskoczy? Zapytuje sam siebie i nie może znaleźć innej odpowiedzi, prócz tej jaką widok losu innych nastręcza. I przesuwa mu się przed oczami smutny, łzawy obrazek. Zimna pusta prawie izba wybladła wdowa szamocąca się z nędzą, dzieci głodne i chore, wołające: chleba! matko daj chleba!

Łzawo mu na duszy, gdyż widzi jak ciężka dola czeka tych nieszczęśliwych. W pośród obcych ludzi zmuszeni będą szukać łaski i pomocy, gdyż praca matki chociażby najcięższa najwytrwalsza nie da owoców mogących zapewnić dzieciom jakie takie utrzymanie. A cóż dopiero mówić o wykształceniu, które ma być fundamentem przyszłości tych sierot!

Każdy dobrze myślący ojciec rodziny stara się i zapobiega jak może, ażeby zostawić pewien fundusz, któryby stanowił zapomogę po jego śmierci. Lecz czy przy najszczerszych chęciach jest rzeczą możliwą, aby człowiek zarabiający kilkaset rubli rocznie, mógł robić oszczędności—prawie że nie, a to coby mógł w najlepszem już razie odłożyć byłoby tak nieznaczącem, że nie wpłynęłoby wiele na polepszenie losu tych, którzy po śmierci głowy rodziny bez chleba zostają.

Urzędnicy mają stowarzyszenia emerytalne—wiadomo jest jednakże jak nieznaczna liczba urzędników z pensyi emerytalnych korzysta. Przebyć w służbie czynnej lat czterdzieści schylonym przy biórku bez ruchu, to nie jest tak łatwo, nie każdemu dano żyć tak długo;—a ileż to razy zdarza się, że po śmierci urzędnika, który przez lat dwadzieścia cztery pracował i składkę emerytalną opłacał w ilości dość wysokiej, bo w stosunku 10% od pobieranej pensyi, rodzina jego otrzymuje tylko jednorazowe wsparcie, które dzieciom wypłacone bywa dopiero po dojściu ich do pełnoletności, to jest wówczas kiedy tego mniej potrzebować będą.

Za dwadzieścia pięć lat służby rodzina dostaje część ósmą, za trzydzieści lat część czwartą, za trzydzieści pięć trzy ósme, a za czterdzieści połowę. Mniej nawet, ponieważ z pensyi emerytalnych wypłacanych pozostałym po urzędnikach rodzinom strąca się również składka emerytelna wynosząca 10%. Zresztą wiadomo każdemu, że jest daleko więcej sierot i wdów po urzędnikach, które nie pobierają żadnej zapomogi, aniżeli takich, które je otrzymują. Nie wszyscy nawet urzędnicy opłacają składki do tutejszego stowarzyszenia emerytalnego wielu bardzo opłaca 2% do „kapitału pensyjnego Cesarstwa“ z którego potem emerytura wypłacaną bywa w bardzo nie wielkiej ilości—i to nie według pobieranej pensyi, lecz stosownie do wysłużonej rangi.

Gorzej jeszcze przedstawia się przyszłość wdów i sierot po rzemieślnikach, ci nie mają żadnych stowarzyszeń emerytalnych, a ze śmiercią głowy rodziny do mieszkania byłego pracownika zagląda nędza, bardzo ciężka i straszna. Ludzie żyjący z pracy, bądź-to fizycznej bądź umysłowej postawieni są w bardzo ciężkich warunkach. Lichem wynagrodzeniem otrzymanem od swych pracodawców opędzać muszą najrozmaitsze potrzeby życia, począwszy od komornego, którego cena wzrasta z nieopisaną szybkością, do najdrobniejszego artykułu żywności, wszystko mieć trzeba, ponieważ w dzisiejszym wieku, ani mieszkać na otwartem powietrzu, ani żywić się mchem leśnym i korzonkami nie można. Odziewać się przyzwoicie i odziewać rodzinę także trzeba, a żadna instytucya wychowawcza nie robi nikomu z edukacyi dziecka podarunku, ale żąda za to słusznej zapłaty. I to wszystko ma być opłacone z lichego zarobku, z pensyjki, którą pracodawca ofiaruje robotnikowi w tej wysokości, jaką sam za stosowne uważa.

Lecz odeszliśmy od przedmiotu, powróćmy więc do niego.

Na człowieku utrzymującym z pracy swojej rodzinę, leży oprócz tego pewien obowiązek moralny, a obowiązkiem tym jest zabezpieczenie jej przyszłości. Obowiązek ten nakazany jest przez prawo silne, bo przez przywiązanie, przez uczucie, jakie każdy ojciec żywi dla swoich dzieci.

Jakże wypełnić to zadanie, jakim sposobem zaspokoić głos sumienia upominający się o to.

Są towarzystwa asekuracyjne.

Ogromne przedsiębiorstwa obracające milionami, ubezpieczające od ognia najdroższe pałace i gmachy, najbogatsze fabryki i składy, ubezpieczające plony od gradu, transporty i t. p. Owóż te towarzystwa ubezpieczają życie ludzkie.

Za pewną opłatą wnoszoną w oznaczonych terminach towarzystwo wypłaca rodzinie po śmierci ojca, umówioną kwotę, a z tą zapomogą łatwiej już wdowie i dzieciom żyć i o przyszłości pomyśleć. I każdy z ojców, który w ten sposób rodzinę, na przypadek swej śmierci zabezpieczył, jest spokojny ponieważ wie o tem że ci których po sobie zostawi nie pójdą wyciągać ręki o wsparcie, ale będą żyli samodzielnie błogosławiąc pamięć tego, który o nich myślał.

Dlaczegoż jednak pomimo istnienia kilku towarzystw przyjmujących ubezpieczenia opar-

te na życiu, nie wiele bardzo osób chce się ubezpieczać. Czy może dlatego, że wiadomość o istnieniu takich towarzystw, nie jest dostatecznie pomiędzy ogółem rozpowszechnioną? —Nie. Przecież prasa podnosiła częstokroć kwestye asekuracyi życia, przecież pan Bronisław Mayzel piórem i słowem potrzebę ubezpieczeń wygłaszał, przecież zresztą same towarzystwa, czy to za pośrednictwem agentów, czy to stosownych ogłoszeń dają wiedzieć o sobie i nie kryją się z działalnością, lecz przeciwnie (jak i każde zresztą przedsiębierstwo) starają się ażeby o nich wiedziano. W najmniejszem miasteczku widzimy napisy oznaczające mieszkanie agenta jakiego towarzystwa, więc wiadomość o istnieniu towarzystw przyjmujących zabezpieczenia jest rozpowszechnioną, a przyczyna przez niektórych podawana jakoby wiadomości o istnieniu towarzystw nie były rozpowszechnione—nie istnieje.

Powiedzą inni, że nie ubezpieczamy się dlatego, że nieoględni na przyszłość i przywykli do stąpania po wydeptanych ścieżkach, wahamy się przystąpić do ubezpieczenia życia, gdyż to jest nowość, która nam w zwyczaj nie weszła. I to nie prawda. Każdy pracujący drży na samą myśl starości i upadku sił, wie bowiem dobrze, że wtenczas nędza go czeka. Każdy pracujący boleje nad myślą, że zostawi po sobie sieroty, a rad byłby sposobności, która by pozwoliła mu zabezpieczyć ich przyszłość.

Bardzo to łatwo rozwijać teorye, wygłaszać piękne myśli i wyrzucać ludziom niedbalstwo, ale trzeba wiedzieć czy ci ludzie mogą być dbałymi.

Rzeczywiście przyczyna małej ilości ubezpieczających życie leży *w wysokich premiach od ubezpieczonych sum i w niedogodnych terminach do opłaty premii przeznaczonych*. Usunąć te przeszkody, a towarzystwa niezdążą załatwiać wszystkich żądających ubezpieczeń.

Kto chce się ubezpieczyć—musi odrazu zapłacić 5 rubli na doktora i opłacić premią za kwartał z góry, następne premie płaci także kwartalnie. Czy opłata w ratach kwartalnych jest możliwą dla robotnika, który zapłatę swą miesięcznie lub tygodniowo odbiera, czy nie łatwiej byłoby opłacać ją miesięcznie, dlaczego składka na doktora, aż pięć rubli wynosi? Trzeba przecież zastanowić się nad tem, że bogaty nie ma potrzeby zabezpieczać życia, biedny zaś potrzebuje tego.

Chcecie wiedzieć jak wysokie są składki? podamy wam cyfry. Wzięliśmy dla przykładu najprostszy a dla towarzystwa najkorzystniejszy sposób ubezpieczenia, bo bez zwrotu premii i bez udziału w osiągniętych zyskach.

Ktoś mający lat 30, ubezpiecza sobie mały kapitalik 4000 rubli płatny albo po jego śmierci albo po dojściu do lat 60 wieku. W towarzystwie „Jakor" opłacać będzie corocznie (Dział A. tab. IV.) po rs. 117 kop. 20—w towarzystwie Petersburgskiem (Rozd. A. tab V.) rs. 118 kop. 80 i to w ratach kwartalnych! Przypuściwszy nawet, że ubezpieczający się zarabia rocznie rs. 500 i że jego rodzina licząc wraz z nim składa się z osób tylko czterech. Czyto możebne?

O ubezpieczeniu dochodów dożywotnich, może marzyć tylko chyba kapitalista lub posesyonat jaki, tak samo kapitalista tylko może marzyć o ubezpieczeniach sum posagowych dla dzieci. Biednemu człowiekowi lepsze zabezpieczenie da kasa oszczędności.

Podajemy te słowa w nadziei, że dojdą do zarządów towarzystw, i wpłyną na zmianę tych nadto uciążliwych warunków.

APTECZKA DOMOWA

opracował:

St. W. Łukowski,

III.

Lukrecya.

Ojczyzną lukrecyi jest Europa południowa. Więcej jednak nad inne gatunki, cenionym bywa *korzeń lukrecyi* rosnącej w Rossyi, nad brzegami Wołgi. Ten ostatni przychodzi do nas już z naskórka szarego obrany, jest więcej węzłowaty, jaśniej żółty i lżejszy. Oprócz korzenia, znajduje się także w handlu—*sok lukrecyowy* (lukrecya smażona), prawie wyłącznie do celów leczniczych używany; otrzymują go przez kilkakrotne wygotowanie wodą korzeni lukrecyi, a następnie, wyparowanie aż do znacznej gęstości, wyprasowanego odwaru, z którego formują potem laski rozmaitego kształtu. Najlepszy gatunek soku lukrecyowego dostarcza Kalabrya;—stanowi on kawałki walcowate, 5 — 6 cali długie, $^3/_4$—1 cala grube, świecące, oraz opatrzone stemplem. Inne gatunki są cieńsze, bez blasku, nierzadko zanieczyszczone włóknami korzeni, krochmalem lub mąką grochową.

Ze składowych części lukrecyi, obok śluzu i gorzkowatej, drapiącej materyi wyciągowej, najważniejszym jest odkryty przes Robiquet'a —*glicyn* (podług Berzeliusza — *glicyryzyn*) czyli cukier lukrecyowy. On to głównie, działając na błonę śluzową dróg oddechowych, nadaje lukrecyi dobroczynną własność *rozmiękczania* i *osłaniania*, tyle pożyteczną szczególniej we wszelkich *nieżytach* (katarach) i *zapaleniach nieżytowych* dróg pomienionych. W podobnych wypadkach podniebienie, języczek, zazwyczaj zwieszony i migdałki—są zaczerwienione, nabrzmiałe i pokryte lepkim śluzem. Chory, użala się na ciągłą suchość, nieprzyjemne łechtanie, palenie i drapanie w gardle, zwłaszcza nad ranem, po przebudzeniu się i po dłuższej rozmowie; przytem, od czasu do czasu czuje instynktowną potrzebę odchrząchiwania i odkasływania. Przy dalszym rozwoju tych cierpień,—oddychanie i połykanie doznają utrudnienia, rozmowa sprawia wielkie męczarnie, głos staje się ostrym, grubym i bezdźwięcznym (ochrypłym), plwocina mało co, albo całkiem się nie wydziela, a niekiedy, zamiast niej, pokazuje się wskutek rozerwania się drobnych naczyń krwionośnych, rozgałęzionych w podniebieniu,—kilka kropel krwi, z powodu których nieszczęsny chory mniema, że cierpi na suchoty. Rzeczone wyżej dolegliwości i dopiero co wzmiankowane fałszywe mniemanie, mogą same z siebie wywołać bardzo niebezpieczną chorobę.

Otóż w lukrecyi posiadamy nieoszacowany środek domowy, przynoszący ulgę w opisanych tu cierpieniach, dopóki choroba nie przybrała jeszcze poważnego charakteru, przy którym niezbędne są mocniejsze środki. Uspokajające działanie następuje natychmiast, po rozpuszczeniu włożonego do ust kawałka lukrecyi i przejściu utworzonej stąd cieczy do tylnej jamy ustnej: połykanie staje się łatwiejszem, zarówno jak wydzielanie gęstego i ropiastego śluzu, palenie i kłócie w gardle zwolna ustępują.

Jeśli jednak chory chce przyspieszyć zupełne uleczenie, powinien koniecznie obok używania lukrecyi, zachowywać ściśle pewne *przepisy dyetetyczne*, a mianowicie: znajdować się w pokoju, posiadającym tak w dzień, jak i w nocy, *czyste i równomiernie ogrzane powietrze*, wolne od wszelkich drażniących wyziewów, a zwłaszcza od kurzu i dymu (zatem palenie fajki lub papierosów, jest wtedy szkodliwem); utrzymywać organ głosu w *największej spokojności*, a więc unikać mówienia, śpiewania i innych ruchów utrudzających odetchy (jak np. wchodzenie po schodach, taniec); wreszcie, wystrzegać się *pokarmów i napojów drażniących*, działających

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Loterya w parku pragskim, wyścigi konne, jarmark na wełnę, *Nerwowi* i *Syn marnotrawny* w teatrzyku p. Trapszy—osiedlenie się niemieckiej trupy w Alkazarze, peregrynacya towarzystwa Francuzów i Francuzek śpiewających pod dyrekcyą panny Keller—z teatru wielkiego do letniego, napływ obywateli wiejskich na jarmark i letni karnawał—oto wiązanka faktów z kilkunastu dni ubiegłych i zarazem obfity materyał dla felietonisty. Pozostawiamy go tedy naszemu koledze, który *u ogniska* zabawia was czytelnicy swoją gawędą—a sami przechodzimy do rzeczy ważniejszych i poważniejszych.

Józef Kremer umarł! Karol Liebelt umarł! Paulina Wilkońska umarła! Kilkanaście dni czasu a cóż to za olbrzymia szczerba pomiędzy pracownikami na polu naukowem i literackiem! Któż nie znał tych imion? kto ich ze czcią i szacunkiem nie wspominał? Każda z trzech wymienionych wyżej osobistości tak wybitne w literaturze i społeczeństwie zajmowała stanowisko, że nie godziłoby nam się wspomnienia tego zawrzeć w kilku słowach—że jednak zamierzamy czytelników naszych w jednym w najbliższych numerów zapoznać nieco dokładniej z działalnością literacką i naukową trzech dopiero zmarłych osobistości—przeto dziś rzucamy tylko na świeże jeszcze mogiły szczerą a serdeczną łzę żalu i powtarzamy ze skruchą: pokój tym czcigodnym popiołom.

Nietylko to u nas, ale i w Galicyi Austryackiej znikają lasy pod morderczą siekierą przemysłowców, w interesie kulturtregerów niemieckich. Sprzedawane przez rząd austryacki lasy Niepołomickie, pewnemu przedsiębierstwu pruskiemu, mają być wycięte, bez względu na to, iż są zabytkiem wiążącym się z wspomnieniami dziejowemi.

W tegorocznej wystawie sztuk pięknych w Paryżu, mało naszych rodaków bierze udział, ale wszyscy dają rzeczy starannie opracowane i pięknie wykończone Matejko zachwyca Paryżan: *Chrztem dzwonu Zygmuntowskiego na Wawelu*. Panna Izdydorya Mikulska dała obraz pod nazwą *Le Repos* i portret kobiety. Oba malowidła też wcale dobrze wykonane. Panna Marya Płużańska urodzona w Kadyksie w Hiszpanii, wystawiła śliczne *rysunki* na porfirze i fajansie. W dziale rzeźby jest *popiersie* z marmuru mężczyzny, znakomicie wycięte przez Klemensa Boryczewskiego, Feliks Grabowski rodem z An-

szkodliwie przy owem przejściu, a więc twardych, suchych i przyprawnych korzeniami lub zimnych potraw, zimnej wody, mocnego piwa, wina lub wódki i t. p. Najodpowiedniejsze są— papkowate i klejkie, w stanie ciepłym, potrawy i napoje.

Wypada nam tu także nadmienić, że oprócz lukrecyi, każdy *cukier* sam z siebie okazuje się pożytecznym w chorobach błony śluzowej dróg oddechowych. Rodzice wiedzą z doświadczenia, że w wypadkach, zbliżających się swemi objawami do dławca czyli krupu, picie ciepłej wody ocukrzonej lub takiegoż mleka, dawanych dzieciom, nierzadko uspokaja szybko, krótki świszczący oddech i charakterystyczny szczekający kaszel, — stan, przy którym nieodzowną jest prędka pomoc ze strony lekarza, gdyż profan nie umie rozpoznać, czy ma do czynienia z lekkim oskrzelowym nieżytem (katarem), czy też z prawdziwym dławcem [1]). Przy umiarkowanem nieżytowem zapaleniu opłucnej, pomaga także częste przyjmowanie po pełnej łyżeczce ciepłego syropu. Niewielka ilość soku chrzanowego z cukrem, stanowi również łagodzący środek przeciwko podrażnieniu gardła i chrypce. Za pomocą podobnych tanich środków można osiągnąć takież pomyślne wyniki, jak i przez użycie kosztownych, różnokolorowych syropów, pastylek i karmelków, któremi, bądź to krajowi, bądź zagraniczni spekulanci, obałamucają i wyzyskują tylko, drogą sążnistych ogłoszeń i reklam, nieoświeconą publiczność, i które, bez względu na swą nazwę, zawierają wszystkie, jako główną część składową—roztwór cukru z dodatkiem materyi śluzowych, oraz anyżu, kopru, korzenia fiałkowego i t. d. Niektóre zaś owych osławionych i modnych lekarstw, jak np. *Pâte de Guimauve* lub *Grains de Cachou*, zalecane w cierpieniach gardła, wyrabiają się przeważnie z lukrecyi, dla niepoznaki zabarwionej i pomieszanej z innemi dodatkami, jak cukier, kleik, liposok tragankowy, olejek miętowy i inne. (*D. c. n.*)

[1]) Przeciwko tej niebezpiecznej chorobie u dzieci, głównie pomiędzy 2 a 5 rokiem życia zdarzającej się, której istota zależy na mocnem zapaleniu błony śluzowej, wyścielającej przewody krtani i tchawicy, skutkiem czego ma miejsce wysiąk włóknisty, z którego tworzą się bardzo prędko skrzepy zwężające i zatykające przewód, a tem samem utrudniające oddychanie i mogące wywołać nawet uduszenie—ruski lekarz wojskowy Muzykantow, zaleca w najnowszych czasach, bardzo skuteczny podług niego i łatwy środek, a mianowicie: smarowanie szyi *Collodium cantharidale*, za pomocą pędzelka lub chorągiewki od pióra; po zaschnięciu, w 5 do 10 minut powtarza się smarowanie. W ciągu 1—2 godzin, powstaje na tem miejscu pęcherz, który się goi w 3 do 4 dni.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg)

Giorgione nie pozostawił żadnego prawie po sobie ucznia, gdyż Sebastian Del Piombo, natychmiast po jego śmierci przeniósł się do Florencyi, gdzie był tak wysoko ceniony, że Michał Anioł malował z nim na współkę obraz Wskrzeszenie Łazarza, który walczył o lepsze z Przemienieniem Pańskiem Rafaela. Jedynem dziełem pozostawionem w Wenecyi przez Sebastyana, są czterej święci, w kościele ś-go Bartłomieja blisko mostu Rialto, który to obraz zczerniał już bardzo pod wpływem czasu.

Jeżeli Giorgione nie pozostawił po sobie uczniów, to wytworzył za to liczny szereg naśladowców, którzy kształcili się na jego wzorach. Zacznijmy od Jakuba Palmy, zwanego starszym, dla rozróżnienia od synowca także Jakuba Palmy młodszego. Artysta to wielkiej siły w koloryzacyi, pełnej świeżości i harmonii. Wogóle Palmę starszego uważać należy za eklektyka łączącego w sobie Tycyana i Giorgiona, choć rozumie się żadnemu z nich nie dorównał. Trzy jego dzieła wymienić można jako najlepsze z licznych znajdujących się w Wenecyi: Matkę Boską w kościele św. Stefana; Ostatnią Wieczerzę, w kościele św. Sylwestra i ś-tą Barbarę, w kościele Marya Formosa. Warszawa posiada także jedno z najlepszych dzieł Palmy, w katedrze św. Jana.

Jeszcze widoczniejszy wpływ Giorgione wywarł na dwóch malarzy: Parysa Bordone i Jana Pardenone.

Parys Bordone był szlachcicem trewizańskim i jako taki z ubliżeniem dla siebie zajmował się malarstwem, uprzedzenie jednak takowe przezwyciężył zapał do sztuki i Bordone zobaczywszy dzieła mistrza, sam bez żadny nauki kopiować je, a potem naśladować zaczął. Z upływem czasu artysta wyrobił sobie sposób traktowania oryginalny pełen lekkości i życia, tak w pomysłach jak i w kolorycie.

Najznakomitsze jego dzieło znajduje się w akademii sztuk pięknych, i nosi nazwę: „*Pierścień św. Marka.*“ Dwudziestego piątego lutego 1340 r., straszna burza nawiedziła Wenecyą, a morze o mało niepochłonęło miasta. Po tym strasznym wypadku, rybak jakiś złożył Doży pierścień, który jak utrzymywał, św. Marek oddał mu, zjawiwszy się w nocy, na znak swojej opieki nad miastem. Tę legendę właśnie uwiecznił Borgone w swoim obrazie. Jest to płótno olbrzymich rozmiarów, przedstawiające dożę Andrzeja Dandolo na tronie, w otoczeniu licznych senatorów i szlachty, któremu rybak pierścień św. Marka składa. Uderzyć musi przedewszystkiem w tej kompozycyi, niezmierna ilość figur doskonale ugrupowanych, przy kolorycie wspaniałym, ciepłym i ożywionym. Mimochodem zaznaczyć tu muszę, że malarze weneccy, więcej daleko tworzyli obrazów z historyi własnego kraju, niż wszyscy inni we Włoszech i w ogóle w Europie. Powód tego bardzo prosty: państwo protegowało sztukę i zachęcało artystów. Naczelnicy rządu zchlebiali i podnosili dumę narodową obywateli, utrzymując przywiązanie do instytucyi narodowych wspomnieniem pięknych czynów, pamiątką sławnych wypadków i znakomitych ludzi. Zadaniem właśnie malarstwa było, przedstawiać ludowi żywe postacie znakomitych obywateli, wielkość i sławę narodu; stąd to właśnie w niezliczonych obrazach pałaców Dożów, trzy czwarte zaczerpnięte zostało z historyi weneckiej ilustrowanej tam przez takich mistrzów jak Bellini, Veroneso, Tintoretto, Palmów, Bassanów, Zuccero, Liberi i tylu innych.

Najznakomitszym z naśladowców Giorgiona, był Jan Antoni Liciniusz Rigilbo Pardenone, rodem z Fryjuru. Nienawidził on Tycyana, który mu to płacił najserdeczniejszą wzajemnością i tak pragnął zgnieść i zwyciężyć, nieznośnego dla siebie współzawodnika, że nie malował inaczej, jak ze szpadą u boku, uważając swą pracę, jako pojedynek z Tycyanem. Zresztą miał on bardzo liczną partyę, która go popierała w tej walce, do której olbrzymi talent dawał mu wszelkie prawo. Trudno dzisiaj sądzić o wartości Pardenona, a raczej oprzeć sąd trzeba na zdaniu współczesnych gdyż mogli oni podziwiać jego freski, tak liczne w Wenecyi, których niestety dzisiaj tak małe pozostały ślady. Cztery zaledwie obrazy Pardenona w Wenecyi napotkać można, a z tych dwa tylko są z ostatniej samodzielnej jego epoki, i te są rzeczywiście skończonemi arcydziełami, to jest: Wawrzyniec Giustiniani, z czterema innemi świętemi, dziś powrócony akademii sztuk pięknych z przymusowej podróży do Paryża w r. 1815 i ś-ta Katarzyna w otoczeniu innych świętych w kościele ś-go Jana di Rialto. Dwa inne słabsze są: św. Mar-

gers, dał płaskorzeźbę z gipsu pod nazwą: *Sainte Espérance*. Władysław Hegel z Warszawy, przestał odtwarzać Wenery, a zwrócił swój rylec ku dziełom przyrody. W tym roku wystawił dwa utwory tego rodzaju, jedno popiersie z palonej gliny, a drugie z gipsu. Nareszcie w dziale architektonicznym, celuje August Wieczfiński de Sérres, który wystąpił z planem dworca kolei żelaznej w Peszcie.

Donoszą nam z Krakowa, że tameczna wystawa sztuk pięknych, ma kilka obrazów, którym przypatrzyć się warto. Oprócz bowiem arcydzieł Matejki ozdabiających salę wystawy, ostatniemi czasy przybyły:

1. *Nad mogiłą*, obraz Benedyktowicza, pełen uroku i smutku, malowany z talentem, a do wysokich jego zalet należy pejzaż jesienny.

2. *Sprzedaż kartofli w Tatrach*, Aleksandra Kotsisa. Obrazy tego malarza odznaczają się tem, że umie naturę pochwycić na gorącym uczynku oraz odszukać piękno i poezyą w najpowszedniejszych scenach życia. To nadaje wielką wartość jego miluchnym obrazkom, malowanym z coraz większą pewnością techniczną.

3. *Piast*, Pruszkowskiego, w dużych rozmiarach, figury naturalnej wielkości. Przedstawia chwilę, w której Piastowi wracającemu od zwykłych zajęć, przynoszą berło i koronę (?), a aniołowie nakłaniają go do przyjęcia tych oznak najwyższej władzy nad ludem. Nie podobna odmówić wielkich zalet pędzla i kompozycyi temu obrazowi, a jednak ów Piast wygląda raczej na cygana niż poczciwego wieśniaka, ta zgraja rycerska, odziana cudacko, acz z pretensyą do znajomości dziejów i archeologii—nie sprawia tego wrażenia, jakie czyni czytanie opisów tej uroczystej chwili. Artysta widocznie silił się nadzwyczajnie, aby zostać oryginalnym, liczył na niezwykły efekt i dla tego nie zrobił dobrego wrażenia. Z całego tego obrazu najwięcej podobać się może kawałeczek krajobrazu ukazujący się za plecami Piasta i oczy widzów zmęczone wędrówką po rudych i siwych przyprawnych brodach kapłanów, po dzikich twarzach i fantastycznych ubiorach, z prawdziwą przyjemnością zawisną na tym sadzie pełnym zieleni, kwiatów i światła. Mimo jednakże tych ujemnych stron tego kartonu pogodzi natychmiast widzów z artystą drugi jego obraz:

4. *Portret kobiety*, malowany z ogromną pewnością, szerokim pędlem i z delikatnem uczuciem.

5. Kazimierz Mirecki, żyjący ciągle w zaczarowanem kole lutnistów, dał znowu lutnistę, a raczej parę lutnistów w otoczeniu dworu Zygmunta I i zatytułował ten utwór: *Wprowadzenie muzyki włoskiej przez Bonę*. Obraz ten ma wszystkie wady i zalety innych prac tego artysty.

cin i św. Krzysztof, w kościele św. Rocha i Zwiastowanie, w kościele Degli Anglioli. Znakomity ten artysta odznaczał się, nadzwyczajną siłą, ekspresyą kompozycyi. Pardenone oprócz tego, utrzymywał formalną szkolę malarską, która już rzeczywiście zwycięzko walczyła ze szkołą Tycyana.

Przechodzę teraz do tego genjalnego mistrza, o którym już kilka razy wspomniałem.

Tycyan urodził się dzieckiem szczęścia.— Kiedy inni artyści przez długie lata walczyć muszą, aby się dobić uznania i chleba, genialny mistrz od razu znalazł sławę i dostatki rozpoczynając karyerę. Tiziano Vecelli urodził się ze szlachetnych rodziców (nobili parenti) w Piave di Cadore w bliskości Belluno w r. 1477. Od najmłodszych lat rodzice dopatrzywszy w dziecku zamiłowanie do rysunku oddali go na naukę do Wenecyi do mozaisty Sebastyana Zuccato, od którego młody uczeń sam już poszedł do Jana Bellini. Najwięcej jednak korzystał Tycyan od swego towarzysza nauki Giorgiona, którego przez pewien czas naśladował. Później wyrobił sobie własny sposób traktowania, mniej wspaniały może i mniej szeroki a nawet mniej oryginalny ale również umiejętny, pewniejszy i ogólniej podziwiany, jako więcej dostępny. Daremnie szukalibyśmy w Tycyanie wysokiego poczucia ideału, szczytnych pojęć formy i ruchu jak w Michale Aniele i Rafaelu, Leonardo Vinci, ale styl jego za to pełny poważny i pełen szlachetności. Ta majestatyczność, którą tak podziwia Reynolds, jeden z najwyższych znawców malarstwa, w portretach Tycyana, stanowi główny charakter wszystkich dzieł mistrza, dodawał do niej często, szczególniej w obrazach mitologicznych, wdzięk i elegancyą. Koloryt nareszcie Tycyana tak powszechnie ceniony, jest mniej wspaniały jak Rubensa, mniej żywy i jaskrawy od Veronesa, mniej stopniowany od Correggia, mniej silny od Tintoretta, lecz ma blask, siłę, ciepło, prawdę i słodycz z wdziękiem imponującym i ponętnym.

Często mięszają koloryt ze światłem pseudo-znawcy, gdy są to rzeczy odrębne i nic wspólnego ze sobą nie mające. Otóż w użyciu światła i jego znajomości, Tycyan jest mistrzem niezrównanym, którego nikt nie przewyższył, i któremu nikt prawie nie dorównał, to też Tycyana studyować musi pod względem światła, każdy uczący się malarz, gdyż światło Tycyana jest ostatniem słowem jakie w sztuce wypowiedziano.

Jak powiedziałem Tycyan urodził się dzieckiem szczęścia. Dziewięćdziesiąt dziewięć lat przeżył on spokojnie i szczęśliwie w Wenecyi. Czczony przez współobywateli, okryty dostojeństwami przez dożę i senat, odwiedzany przez wszystkich panujących jacy przez Wenecyą przejeżdżali, uznany za najpierwszego w świecie malarza, doczekał się tego, że gdy upuścił pędzel w pracowni podczas odwiedzin Karola V Cesarza, najpierwszego monarchy chrześcijaństwa, ten mu go podniósł, korząc głowę przed talentem. I po śmierci jeszcze Tycyan był wyjątkowo szczęśliwym. Zmarł on w roku 1576, na zarazę, która srożyła się wtedy nad Wenecyą i skonał prawie bez cierpień z pędzlem w ręku. Otóż jakkolwiek prawo nakazywało chowanie natychmiastowe zmarłych na zarazę w miejscu osobnem na to przeznaczonem, Senat wenecki zrobić nakazał dla Tycyana wyjątek. Pochowano go z honorami przynależnemi książętom krwi, jakkolwiek nie używał tytułu hrabiego Cesarstwa Rzymskiego jaki mu nadał Karol V. Za życia Tycyan był przyjacielem wszystkich znakomitości współczesnych a kiedy w 70-tym roku życia pojechał do Rzymu Michał Anioł, podejmował go tam wraz z Papieżem i sam ofiarował mu się za przewodnika po świętem mieście.

Henryk III przy ucieczce z Polski również był u Tycyana i zastał do nad ostatnią pracą dziś w Akademii sztuk pięknych znajdująca się: „Złożenie Chrystusa w grobie,“ którą mistrz przeznaczał do własnego grobowca.

Tycyan słynie również jako najznakomitszy potrecista, sława ta jednak jest potrosze uzurpowaną. Rzeczywiście jakkolwiek malował on Karola V, Filipa II, Frańciszka I, Pawła III papieża, Lukrecyą Borgia, Ariosta, Kardynała Bembo, Aretina, siebie samego, niezliczoną ilość uczonych, dowódców, dożów, senatorów i patrycyuszów weneckich a stąd współczesni za najwyższy zaszczyt mieli sobie być przez niego malowanymi, jednak śmiało powiedzieć można, że Rafael, Rubens, Van-Dyck, Rembrandt, Velasques wyżej stoją od niego pod względem portretów, a co najmniej, dorównywają. W Wenecyi zostanie on jednak bez zaprzeczenia i pod tym względem najpierwszym.

Tycyan malował tak wiele przez ciąg wiekowego prawie życia, że obrazów jego liczą 1500. Wenecya jest przepełniona dziełami Tycyana, w których autentyczność jednak bardzo wierzyć nie należy i dlatego radzę podróżnikom obejrzeć tylko następujące jako *napewno* Tycyanowskie a wdodatku i najcenniejsze.

Najprzód z religijnych. W kościele Ś-go Jana i Pawła „Męczeństwo Ś-go Piotra dominikanina.“ Przy tym obrazie zwrócić muszę uwagę czytelników, że Tycyan jest rzeczywiście ojcem pejzażu, którego malarze przed nim zupełnie nie rozumieli, znając jedną tylko perspektywę linearną, a stąd odtwarzając tylko budynki i dzieła architektury, gdyż nie umieli przedstawić perspektywy rzeczy nieregularnie rysujących się, jak drzewa i chmury. Pierwszy Tycyan pejzaż zupełny tworzy, a linią horyzontu gubi w głębi obrazu nie wystawiając jej u góry na pierwszy plan jak jego poprzednicy. Otaż w męczeństwie Ś-go Piotra widziemy już pejzaż doskonały. Trzy postacie składają ten obraz. Dwóch mnichów napadniętych zostało przez rozbójników, jeden z boku obrazu ucieka, drugiego zaś to jest Ś-go Piotra przebija zbrodniarz sztyletem a Święty podnosi ręce do nieba, do którego z obłoków przyzywają go dwaj aniołowie. Cała scena rozgrywa się w gęstwinie leśnej, oddanej już z najwyższym stopniem doskonałości. Obraz ten był jak i inne arcydzieła zagrabionym przez Francuzów a mianowicie jak i „Męczeństwo Ś-go Wawrzyńca“ dziś w kościele Jezuitów. Obraz ten jest również bez zaprzeczenia dziełem Tycyana, ale uszkodzonym został nazbyt częstemi odnawianiami. Dalej idzie „Święta Magdalena“ w pałacu Barbarigo, również ceniona jak Magdalena Correggia w Dreźnie; następnie „Rodzina Pesaro u stóp Maryi Panny otoczonej świętymi,“ w kościele Dei Frari, zaktóry to obraz zapłacono artyście 102 dukaty weneckie (około 600 złotych naszych), co uważano za sumę nadzwyczajną; wreszcie w konfraterni Ś-go Rocha „Zwiastowanie.“

W akademii sztuk pięknych dwa najznakomitsze obrazy Tycyana treści religijnej są: „Wniebowzięzie“ i „Przedstawienie Matki Boskiej w kościele“ (Presentazione di Santa Virgine in Tempio). Ostatni przedstawia Matkę Boską jako dzieweczkę od lat 10 do 12 wchodzącą po schodach do świątyni. Przy wejściu, z prawej strony oczekuje na nią kilka osób, w głębi widać ożywiony tłum ludzi, wspaniały kościół a dalej w ostatniej perspektywie gmachy miejskie i góry po za niemi. Obraz ten jest tak świeży, jakby parę dni temu wyszedł z pracowni.

Najulubieńszym przedmiotem Tycyana była mytologia i z niej zaczerpnąwszy przedmiotu najwięcej stworzył arcydzieł. Niestety rozpierzchły się one po różnych galeryach Europy, jak dwie Wenery we Florencyi „Wenus ucząca młodą dziewicę czci Bachusa“ w Monachium „Wenus wstrzymująca Adonisa“ w Londynie „Dyana i Akteon“ w Madrycie i wiele innych, których tu wymienić z pamieci nie umiem. Z tego rodzaju, dwa tylko dzieła z pewnością Tycyana pozostały w Wenecyi:

---

6. Miluchny jest także obrazek p. Wysłobodzkiej: *Pierwsze fiołki*.

7. Piątkowski Henryk, namalował wcale pokaźnej tuszy niewiastę w aksamitnej sukni na tle szarego nieba i zatytułował: *Początek jesieni*. Fantazya artysty miała widać na celu zadać widzom trudną do rozwiązania łamigłówkę, gdzie mają upatrywać owego *początku jesieni*, czy w szarym tle obrazu, lub w korpulentnych członkach owej niewiasty?

Oprócz wymienionych, są jeszcze: *Bachantka* Kotsisa, przedstawiona w wybornem oświetleniu; *Szczwacz ukraiński i Ekonom*, Chełmońskiego; *Campania romana*, Świeszewskiego: *Modlitwa*, Wojnarowskiego i inne.

Mimo jednakże wielu dzieł sztuki, jakie zdobią ściany tamecznej wystawy, korespondent dodaje, że mało komu ze spacerujących tuż około jej gmachu, przyjdzie na myśl, iż takowa istnieje w tym starożytnym grodzie, i że nieporównanie przyjemniej czas przepędzić w który z licznych winiarni lub piwiarni, aniżeli pośród dzieł sztuki, pomiędzy któremi nie trudno napotkać i prawdziwe arcydzieło przynoszące chlubę nietylko spółczesnym ale i odleglejszym pokoleniom.

Im bliżej poznajemy ziemiostan naszych okolic, tym więcej odkrywamy w nich nieznanych ogółowi bogactw naturalnych. Studya prowadzone nad budową kolei Nadwiślańskiej przekonały, że znaczna część surowych materyałów znajduje się w miejscu i nie będzie potrzeby sprowadzać ich z dalszych okolic. I tak, drzewa w znacznej ilości w różnych gatunkach do rozmaitych celów jest podostatkiem, podobnież wybornej gliny do wyrobu cegły i wapna. Obok tego margiel kredowy zwany opoką, pochodzący z Piask pod Lublinem, badany porównawczo ze zwykłą cegłą, okazał się znacznie wytrzymalszym i zdaje się, że będzie mógł być użytym do budowy przyczółków mostów, a zwłaszcza ich wewnętrznych części. Piaskowce czerwony i biały z okolic Chełma, dały również wyborne rezultaty, zwłaszcza okazy piaskowca białego drobno ziarnistego, wytrzymały znaczne ciśnienie bo jest on twardym do tego stopnia, że w niektórych razach będzie mógł zastąpić granit.

Relsy jednakże jak również i cały po większej części tabor drogi sprowadzonym zostanie z zagranicy, bo choć kraj nasz uposażony jest w pokłady nader bogatej rudy żelaznej, aleśmy jeszcze nie dorośli umysłowo do tyła, abyśmy umieli osiągnąć z nich odpowiednie korzyści.

Z nastawaniem coraz cieplejszej pory i pokąsania przez psów podejrzanych o wściekliznę coraz więcej wchodzą na porządek dzienny. Powody i przyczyny tej straszliwej choroby,

„Wenus z lusterkiem" w pałacu Barbarigo i „Bachanalie" uważane przez Augustyna Caraaccio za najpiękniejszy obraz na świecie.

(*D. c. n.*)

O WIETRZE.

(Dokończenie)

Powierzchnia ziemi ogrzewana jest przez słońce bardzo niejednostajnie. Bieguny i sąsiednie im okolice prawie wcale nie odbierają ciepła od słońca, albo tak mało tylko, że po kilkomiesięcznej nocy zaledwie powierzchnia ziemi odtajać może; umiarkowane są ogrzewane tym więcej, im ich szerokość geograficzna jest mniejsza, najwięcej zaś ciepła odbierają okolice międzyzwrotnikowe, gdzie promienie słoneczne padają najbardziej prostopadle.

Co się powiedziało o ogrzewaniu powierzchni ziemi, odnosi się i do otaczającej ją atmosfery; nawiasowo tylko dodamy, że powietrze nie ogrzewa się bezpośrednio od słońca; promienie słoneczne przebiegają atmosferę prawie bez zmiany; powietrze bowiem jest bardzo przecieplające, to jest przepuszcza promienie ciepła zgoła ich nie zatrzymując, nie pochłaniając, tem samem od nich wcale rozgrzać się nie może. Dopiero gdy promienie słoneczne padają na powierzchnię ziemi, zostają przez nią zatrzymane, pochłonięte i sprowadzają ogrzanie lądu stałego i mórz; warstwy powietrza najbliższe powierzchni ziemi ogrzewają się od niej przez zetknięcie i ciepło to oddają dalszym. Stąd to pochodzi okoliczność dziwna dla wielu, że warstwy powietrza najbliższe ziemi są najcieplejsze, a warstwy jego górne są nawet w czasie najsilniejszych upałów letnich lodowato zimne.

Bądź co bądź, miejsca najwyższego rozgrzania atmsfery tworzą do koła ziemi pas w pobliżu równika. W tym pasie powietrze jest najgorętsze, najrzadsze, najlżejsze, tam płynie ono ku górze, jak w naszych kominach, otaczając kulę ziemską pierścieniem gazu wznoszącego się ku górze.

Jak w drobnych przykładach, którešmy wyżej rozbierali, pierścień ten wznoszącego się powietrza, pociąga dla zastąpienia ubytku powietrze z miejsc sąsiednich równikowi; wprowadzone w ruch, powietrze to pociąga za sobą dalej powietrze z szerokości wyższych, ustala w warstwach spodnich atmosfery ruch zbiorowy, który przenosi powietrze z północy i południa ku równikowi. Są to dwa prądy biegunowe.

Powietrze wznoszące się w okolicy równika wstępuje do pewnej wysokości, tam jednak szybkość pędząca ku górze zwolna się wyczerpuje, a że nie może wrócić ku dołowi gdyż na tej drodze napotyka nowe masy wznoszącego się, rozgrzanego powietrza, to musi w wyższych warstwach atmosfery odpływać w obie strony ku biegunom ziemi, tworząc dwa prądy równikowe.

Prąd powietrza wznoszącego się nie jest uczuwany jako wiatr, jak prąd powietrzny poziomo się rozciągający; wydaje się on owszem zupełną ciszą; okolica przeto prądu wstępującego około ziemi stanowi strefę ciszy. Żeglarze się jej obawiają i o ile mogą, unikają. Powietrze jest tam ciężkie i gęste, a niewypowiedziany spokój powietrza zostaje tylko niekiedy przerwany przez gwałtowne ulewy, które tylko przechodnie odświeżenie powietrza sprowadzają. Ulewy te łatwo zrozumieć; ciepłe powietrze zwłaszcza tam, gdzie się wznosi nad powierzchnią morza, zabiera ze sobą znaczne ilości pary w wyższe, chłodniejsze warstwy atmosfery, gdzie ta para częściowo się skrapla i tworzy chmury, które wylewają ogromne ilości wody. Pas przeto ciszy schodzi się z pasem chmur otaczających kulę ziemską; jest to strefa największych deszczów, wody spadającej z deszczem zbiera się tam aż do 4 metrów rocznie; jest to tak zwany *cloud-ring* żeglarzy angielskich *pot-au-noir* francuzkich. Ciepła ta wilgotność w połączeniu z wysokim stanem termometru (40° do 45° C.) sprowadza istotne przygnębienie człowieka. Parowanie tam jest żadne, materye organiczne przechodzą w nagły rozkład i wydają te miazmaty groźne, te gorączki śmiertelne, które dziesiątkują Europejczyków. Ale jeżeli te warunki ciepła i wilgotności są szkodliwe dla zwierząt i człowieka, są natomiast bardzo pomyślne dla roślin. Znajdujemy tam też roślinność obfitą i potężną, która w zdumienie wprawia wędrowca. Podobny zapewne charakter miała cała atmosfera ziemska w owej odległej epoce geologicznej, gdy ziemię pokrywały bujne lasy, których szczątki w postaci węgla kamiennego są błogosławieństwem dzisiejszego przemysłowego pokolenia.

Ale strefa najwyższego ogrzania nie zachowuje w ciągu roku położenia niezmiennego; wraz ze słońcem przesuwa się ona między równikami, a z nią i pora niepogodna, deszczowa, którą podróżnicy często opisują pod nazwą zimy stref zwrotnikowych, która to nazwa już z tego powodu jest niestosowną, że przypada ona w czasie najwyższego stanu słońca. Podczas lata naszego panuje ona nad Meksykiem i Antylami, okrywa całe Indye i Kochinchinę; podczas zimy przechodzi nad wyspą Bourbon, nad Markizami i nad północną Australią; dwa razy rocznie przechodzi równik. Za jej zbliżeniem się niebo napełnia się chmurami, mgłą i elektrycznością. Pierwsza burza wybucha około godziny drugiej, nazajutrz są dwie, potem trwają cały dzień a nawet i noc całą. Taką jest zima czyli lato okolic zwrotnikowych. Ale skoro tylko pierścień deszczowy ów *cloud-ring*, opuszcza okolicę, pogoda staje się tak stałą, jak bezustannemi były deszcze. W strefie gorącej zjawiska meteorologiczne przedstawiają ścisłość niemal zjawisk astronomicznych, wszystko tam jest rządzone jedną siłą, niezakłócaną wpływem zjawisk ubocznych, siłą ciepła słonecznego. Panowanie klimatów zmiennych rozpoczyna się dopiero poza zwrotnikami.

Aby poznać naturę tych klimatów, wróćmy do owych zasadniczych prądów, wywołanych działaniem promieni słońca w okolicach równika. Z pasa ciszy odpływa ku biegunom, wysoko ponad powierzchnią ziemi, ciepłe i wilgotne powietrze okolic międzyzwrotnikowych, podczas gdy zimniejsze i suchsze powietrze okolic biegunowych, sunąc ponad samą powierznią ziemi, zmierza z obu stron ku równikowi.

Nie należy jednak sądzić, że cała ta niezmierna masa powietrza, która się wzniosła ponad równikiem, ześrodkowuje się ponad biegunami i rzuca się ku nim ze wszech stron w postaci zwężającego się lejka. Gdyby tak było, ogromna ta masa gazu padająca w jeden punkt z ogromną prędkością sprowadziłaby swem uderzeniem skutki fatalne. Nic podobnego miejsca jednak nie ma. Prąd równikowy niedługo zachowuje wysokie swe położenie; w drodze ku biegunom ześrodkowuje się jak południki nakreślone na globie ziemskim. Jego łożysko się ścieśnia, zagęszcza się, oziębia, staje się cięższem i w czasie całej swej drogi wypuszcza smugi zstępujące. Już w pobliżu zwrotników oddziela się od niego prąd schodzący ku dołowi, który swe masy powietrza miesza z dolnym prądem biegunowym i z nim razem wraca ku równikowi. Okolice dotykane tym prądem zstępującym, odznaczają się także częstą ciszą; tworzą one dwa pasy, idące w ogólności w kierunku zwrotników i dla odróżnienia od powyżej opowiedzianego pasa ciszy równikowej, nazywają się pasami ciszy zwrotnikowej. I one są także

---

nauka już stanowczo i ostatecznie orzekła, że wyłącznie podlegającej tylko psy i koty niemających panów, które wiodąc żywot koczowniczy i nie mogąc w czasie panujących upałów, zaspakajać w każdej porze dokuczliwego pragnienia, dostają gorączki wywiązującej się w wściekliznę, a takich nieszczęśliwych istot w naszej Warszawie moglibyśmy sporą cyfrę dziesiątek naliczyć. Choć nie tajno ogółowi, iż jedynym środkiem uniknięcia tak niebezpiecznych następstw jest urządzenie małych a licznych rezerwoarów czystej wody, gdzie zwierzęta domowe mogłyby każdej chwili gasić pragnienie a nie w rynsztokach brudną i cuchnącą wodą jak to obecnie się praktykuje;—choć fakta stwierdzone przez naukę i doświadczenie przemawiają za skutecznością tego środka, gospodarze jednak tutejsi z uwagi, że urządzenie podobnych rezerwoarów nie dałoby powodu podniesienia dotychczasowych cen komornego minimum 50%, uznali za najwłaściwsze zdrowie i życie ogółu mieszkańców wystawić na każdym kroku z tego powodu na niebezpieczeństwo, jako nieprzynoszące im żadnej korzyści, a nawet niewchodzące do ich manipulacyi finansowych. W obec zatem takiej apatyi, najpraktyczniejszym jest środek uwolnienia się od podobnego rodzaju włóczęgów, zagrażających zdrowiu i życiu ludzkiemu używany przez policyą francuską, gdzie każdy z jej ajentów opatrzony jest w odpowiednią ilość pigułek umieszanych ze strychniną i te każdemu bawiącemu się włóczęgą psu lub kotu poddaje do skonsumowania. Tym sposobem amatorowie nietylko Medorów lub Żolek ale nawet Filusiów z całą troskliwością muszą ich strzedz i pilnować, bo najczęściej wybiegłszy za próg mieszkania, zwłaszcza po miastach wcale już nie powracają. Środek ten również i w Warszawie ze wszystkich przedsiębranych przez władze czuwające nad utrzymaniem porządku publicznego, a mimo tego skutkiem apatyi mieszkańców, niemogących zapobiedz włóczędze psów po ulicach, mógłby być najskuteczniejszym. W zeszłym tygodniu sami byliśmy świadkiem jak ogromny kundys zapragnął w porze południowej odbyć przechadzkę w wielkiej alei Saskiego Ogrodu, a gdy mu wzbraniał tej przyjemności, stojący przy bramie ogrodu ajent policyjny, począł mu się łasić pierwotnie a gdy ten okazał się nieczułym na jego zwierzęcą perswazyą, rzucił się ku niemu szczekając i grożąc ogromnemi zębami i tym sposobem utorował sobie drogę do przechadzki. Nie wiemy w jaki sposób wyproszono czworonożnego gościa z ogrodu, ale to pewna, że gdyby u nas zastosowaną została francuska metoda niszczenia psów, podobne nadużycie nie miałoby miejsca, bo alboby pies niekusił się więcej do podobnego rodzaju przechadzek, albo najprawdopodobniej właściciel jego w swym własnym interesie wzbroniłby mu stanowczo tej przyjemności.

---

postrachem dla żeglarzy, którzy je nazywają okolicami końskiemi (*horse latitudes*).

Główna jednak część prądu równikowego posuwa się dalej ku biegunom, wysyłając dalej smugi zstępujące, które głównie uderzają ziemię w okolicach umiarkowanych i mięszają się z prądem biegunowym, który rozszerzając się wciąż, w miarę oddalenia się od biegunów stopniowo by wolniał w biegu, gdyby nie owe prądy zstępujące, które go ożywiają; one to przywracają równowagę atmosfery w każdej chwili wstrząśniętą; one to wywołują zmianę kierunku wiatrów i sprowadzają nam deszcz, jak to bliżej rozpatrzymy.

SZTUKI PIĘKNE.

Malarstwo.—Rzeźba.

Wystawa nasza sztuk pięknych, zapadła obecnie w peryodyczny letarg letni, a młodzi tylko artyści, lub stali pracownicy z Monachium zasilają ją potrosze. Zresztą nie spotykamy na niej nic prawie prócz portretów, a i te niebardzo interesujące. Ze wszystkich prac w salonie malarstwa wystawionych z ostatnich czasów wspomnieć tylko można: *Zadymkę* Brandta, *Ostatnią krówkę* i *Bez jutra* Streita, *Wyprawę w góry* Kurelli, a przedewszystkiem: *Wyspę Capri* Aivasovsky'ego.

Zaczynając od ostatniego, trudno o umiejętniejsze odtworzenie lekko wzburzonego morza jak w obrazie p. Aivasovsky'ego. Artysta pochwycił chwilę chylącego się ku zachodowi słońca, kiedy promienie świetlanej kuli łamią się w jasno zielonych odpryskach fali, po której igrają łodzie rybackie, zbliżające się do wysepki. Szczególniej śmiało malowane jest słońce i przy odpowiedniem oświetleniu, (niestety tak rzadkiem na naszej wystawie), niezmiernie efektownie wygląda.

Pp. Brandt, Streit i Kurella o ile słyszeliśmy przeznaczyli swoje prace na cel dobroczynny, na wsparcie uboższych malarzy kształcących się w Monachium. Wszyscy trzej artyści, jakkolwiek skromnych rozmiarów nadesłali obrazy niemniej przeto, każde z tych dzieł ma rzeczywistą wartość artystyczną.

Zadymka p. Brandta, przedstawia kozaków broniących folwarku od napadu podczas zimowej zamieci, a jakkolwiek kilka postaci obrazu z pewnem zaniedbaniem wykończył artysta, to niemniej przeto sama zamieć oddana jest po mistrzowsku.

Obraz p. Kurelli przedstawia nam podróżników wybierających się na wyprawę w góry. Przewodnicy z mułami czekają przed oberżą w górach, na wychodzącą właśnie familią turystów złożoną z dwóch kobiet i jednego mężczyzny. Obrazek ten bardzo przyjemne robi wrażenie i zarzucićby mu można, chyba niebo nazbyt szafirowo-ciemne, jakie właśnie w górach rzadko się przydaża.

Nareszcie obraz p. Streita wyobraża, biedną matkę z dziećmi bez chleba ni dachu, w polu odpoczywającą i odznacza się poetyczną myślą przy wielkiej staranności wykończenia. Tegoż samego artysty, *Ostatnia krówka* jest pełną prawdy i charakterystyki rodzajową kompozycyą. Na rynku małego miasteczka, pełnym jako w dzień targowy, wieśniaków, żydków, handlarzy i przekupniów różnego rodzaju, biedny chłopek sprzedaje ostatni swój dobytek, ostatnią krówkę, która na targu pozostała. Dwóch żydków ogląda i targuje towar a jeden z nich pokazuje, biedakowi gotówkę tak pożądaną, gdy drugi krzywiąc się dopatruje wad w zmarnowanem prawdziwie bydlęciu. Scena to oczywiście z natury pochwycona, a jednak czuć w niej myśl głębszą i stronę duchową własnego poglądu, jaki artysta na płótno przelać potrafił.

W saloniku rzeźby p. Faustyn Cengler, wystawił prace swoje nowsze i dawniejsze z rozmaitej epoki. Nie można zaprzeczyć, że artysta posiada talent rzeczywisty, który przebija szczególniej w biuście: „Zawstydzonej“ w krucyfiksie i kilku pomnikach. Rozumie się, że marmur lepiej się wydaje jak gips i glina, dla tego też bardziej ponętne są biusty i krucyfiks niż nagrobki, jednak jest tam jeden pomnik dzieweczki, który prześlicznieby wyglądał w marmurze.

W chwili kiedy to piszemy p. Cypryan Godebski urządził wystawę dzieł swoich rzeźbiarskich w sali ratusza na dochód kuchen tanich. Jest tam prac osiemnaście, biustów charakterystycznych, portretów i modelów do kolosalnych posągów. Pan Godebski, który cieszył się wielkiem uznaniem za granicą i był, jeśli się nie mylimy, profesorem petersburgskiej akademii sztuk pięknych u nas pierwszy raz dał się poznać pomnikiem dla Moniuszki i grobowcem na Powązkach dla hr. Nesselrode. Z wystawionych dzieł obecnie można już powziąć przekonanie, że p. Godebski słusznie jedno z najpierwszych miejsc w nielicznem dzisiaj gronie znakomitych rzeźbiarzy, zająć ma prawo. Szczególniej uderza nas proporcyonalność i rzeczywista piękność kształtów w posągach kolosalnych, przy zachowaniu właściwej ekspresyi, skąd wnosić można, że dzieła wielkie pomysłem i rozmiarem są właściwe specyalnością artysty. Z biustów podobał nam się bardzo chłop rosyjski pijany i włościanka w stroju mamki, choć i inne są nie-pośledniej wartości.

K. Z.

UWAGI
dla rodziców i nauczycieli
z powodu niewłaściwego stosunku pomiędzy wykształceniem umysłowem i fizycznem.

według

D-RA GUSTAWA MÜNCH.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ III.

O sposobie pogodzenia wychowania fizycznego i moralnego bez wzajemnej szkody.

Przedewszystkiem zwróćmy uwagę, na zabudowanie szkolne.

Od pewnego przeciągu czasu, zrobiono dla nich wiele, wystawy powszechne, szczególniej wiedeńska produkując najpraktyczniejsze wzory wedle których budować i urządzać należy zakłady szkolne, zdziałały wiele przemian we względzie hygienicznym. Nowe zabudowania w tym rodzaju odznaczają się wygodnem urządzeniem. Sale szkolne są odpowiednie do liczby uczniów, ławki dawniej krępujące dzieci w ruchach niedozwalające im nawet wygodnie siedzieć poczęły znikać, a na ich miejscu, zaprowadzono pojedyncze krzesła, lub jak w Ameryce, podwójne ławeczki, w których tylko po dwoje dzieci się mieści. Jest to już wielki postęp, pod względem hygienicznym zasługujący na pilną uwagę, gdyż około każdego dziecka, zostawuje się tyle powietrza ile go potrzeba, ażeby mogło równoważyć wyziewy każdego ciała. Ale dotychczas na tem się ukończyły wszystkie ulepszenia, same zaś szkolne zabudowania nie uległy zmianie z obawy dużych kosztów, a że wiele koszar i klasztorów stało pustkami, użyto je więc na ten cel. Przeciw temu znalazło by się wiele do powiedzenia jednak kwestya ta nie może być osądzoną zjednej strony hygienicznej, Państwa zaś ze strony finansowej—a i my przyznać musimy, że nieraz niepodobieństwem by było nadruszać budżet krajowy, jedynie tylko w celu przerabiania gmachów szkolnych.

Przeszkodzić jednakże złemu możnaby zmniejszając liczbę godzin, poświęconych nauce lub przeplatając je ćwiczeniami gimnastycznemi, lub fechtunkami, w końcu chociażby spacerem.

Na to ostatnie zdanie, widzę zdaleka jak się panowie pedagogowie, którym zawsze się zdaje, że ich wychowańcy, za mało się uczą, marszczą swoje czoła. Oni naprzykład żądają, żeby dzieci nigdy nie miały wolnych godzin do zabaw, tak że dawniejszy zwyczaj rekracyi poobiedniej, powoli znika, z horyzontu szkolnego. Wymówkę na to dają, że wiek teraźniejszy daleko więcej wymaga nauki niż poprzednie. To wszystko jest piękne i wniosłe w teoryi i tak łatwo i gładko ułożone, że na papierze nic do życzenia nie zostawia; ale w rzeczywistości co widzimy? Oto młode pokolenie wycieńczone blade i podległe najrozmaitszym chorobom, a to z powodu przeciążenia naukami. Tu uwagę zwrócić musiemy szczególniej na wszystkie zakłady prywatne a najwięcej na profesorów spadłych z etatu i dawne guwernantki, które utrzymują małe pensyjki, mogące się raczej nazywać więzieniami, niż zakładami naukowemi, o wielu z nich władze wiedzą, i kiedy niekiedy je odwiedzają inne znowu, a tych jest niezpreliczona ilość, istnieją sekretnie sposobem prywatnym, tylko można o nich powziąć wiadomość—i te właśnie, nie zostając pod żadną kontrolą, popełniają największe nadużycia. Nie będąc profesorem, zdaje mi się, że mogę jednak mieć prawo zdanie moje objawić, wszak każdemu człowiekowi pozwolono rozumować o tem, co do niego należy, a wychowanie młodzieży, należy do wszystkich. Otóż podług mego zdania szkoła służy ku kształceniu umysłu i wskazaniu drogi do łatwego pojmowania wszelkich nauk. Uczeń, pod kierunkiem profesora, pracując nad jedną gałęzią naukową tem samem się kształci i złatwością pojmuje drugie. Myśl bowiem, że w pewnym przeciągu czasu, potrzeba wszystkie nauki posiąść, jest sofizmatem—całe życie człowieka nie wystarczy na główne zbadanie wszystkich nauk; czyż zatem można tego wymagać od młodzieży, za mało dojrzałej do trudnienia się jedną tylko pracą naukową? Jeżeli zarzucą mi, niekompetentność i brak doświadczenia we względzie pedagogicznym, przytoczę tu słowa starego Grzegorza Horst — powiedziane w jego książce pod tytułem:

De tuenda valetudine Studiorum Giessae 1615. „że potrzeba mało czytać i niewiele się uczyć, żeby robić to z chęcią i pożytkiem.“

I tak w istocie. Który z lubowników muzyki, lepiej ją z głębi pokocha, czy ten który po kilka lub kilkanaście razy słucha jednej opery czy ten, który co wieczór słysząc coś innego, przelatuje z jednej do drugiej, tak że w końcu, żadnej nie jest wstanie zapamiętać. O malarstwie i poezyi można to samo powiedzieć: ci tylko, którzy zgłębiają arcydzieła, jednego lub kilku mistrzów mogą swój smak estetyczny wykształcić.

A to cośmy powiedzieli o sztukach pięknych możemy zastosować najbardziej do języków starożytnych. Iluż to nieszczęśliwych uczniów zamęcza się nad czasowaniem słów łacińskich i greckich i na co to im się zda? Panowie profesorowie odpowiedzą mi, że języki starożytne są niezbędnie potrzebne, gdyż na nich kształciły się nowożytne; one dają lepsze pojęcie o składzie gramatyk teraźniejszych i ułatwiają wymowę. Wszystko to być może, zaprzeczać temu nie będziemy gdyż dyssertacya o łacinie i języku greckim nie była wcale w programie naszego zadania, prosilibyśmy tylko o trochę więcej umiarkowania w tej mierze a szczególniej prosimy, o przeplatanie godzin naukowych gimnastyką, fechtunkiem, spacerem, ślizganiem się na łyżwach, lub konną jazdą. I tu szczególniej zwracam się do zamożniejszych rodziców wychowujących dzieci w domu pod kierunkiem profesorów i nauczycielek, a wkońcu niech mi wolno będzie powiedzieć słów parę o lekcyach zadawanych za karę. Dziecię, jest nieposłuszne, nieuważne, źle umiało zadaną gramatykę, historyą lub geografią—profesor, lub nauczycielka, którym powierzony jest dozór nad dziećmi, chcąc je zmusić do pilności, zadają mu dwa razy więcej, tego samego przedmiotu i lekcyi tej musi się uczyć oprócz, innych zadań. I czegożeście dopięli tą karą? czyście obudzili w dziecku ochotę do nauki, i zapał do dalszego kształcenia się? Przeciwnie, dziecię jak to w poprzednim rozdziale rozbieraliśmy z powodu stanu chorobliwego, pewnego rodzaju znużenia sił umysłowych potrzebowałoby wytchnienia, a wy je większą jeszcze pracę obarczacie. W Darmstadzie w jednej z wyższych szkół, uczeń chorowity nie mógł zdać egzaminu razem z drugiemi i profesorowie zarzucali go pytaniami oprócz zwykłych nauk. Ojciec biednego chłopca prosił ich o pobłażanie, a otrzymał taką odpowiedź: „Trzeba męczyć tych hultajów!“ I jakiż był koniec, oto chłopiec przemęczywszy się lat parę, wpadł w najzupełniejszy idyotyzm który się skończył śmiercią i to wszystko w przeciągu trzech lat.

Taką perspektywę mają przed sobą wszyscy rodzice, jeżeli zostawiając pełną władzę panom profesorom i nauczycielkom, niezważają na rozwój fizyczny swych dzieci, i nie zapobiegają podobnym nadużyciom.

A teraz chcąc streścić to wszystko, cośmy o tym przedmiocie powiedzieli, powtarzamy, że należy dzieci przyzwyczajać do ćwiczeń gimnastycznych, codziennego obmywania ciała wodą zimną—do konnej jazdy, fechtowania lub uczyć je pływać. Te ćwiczenia rozwijają muskuły i wzmacniając nerwy, czynią dzieci wytrwalszemi i zdolniejszemi do nauki.

Szczególniej upraszam o zwrócenie uwagi na obmywanie całego ciała wodą zimną. Rodzice i nauczyciele, znajdują to niewygodnem, wymagającem dużo czasu drogiego, który można byłoby poświęcić na naukę. A ja przeciwnie powiem, że obmywanie całego ciała, jest potrzebniejsem, jak najprzeróżniejsze nauki.

Spojrzyjmy na wodę, którą nam podają do mycia się, jak czysta i przezroczysta? Patrzmy na nią,— po umyciu się? Woda staje się mętną; otóż te męty, są brudem, który osiadając na naszej skórze, przeszkadza wydzielaniu się potu i w końcu usposabia nas do różnych chorób.

W końcu zwracam uwagę szanownych czytelników na sypialnie dziecinne, które powinny być obszerne, przewietrzane, i zawsze czysto utrzymywane; jest to jeszcze jeden z niezbędnych warunków utrzymania zdrowia.

Wiem, że z temi radami stanie się to samo, co z mnóstwem innych rozpraw; nie zwrócą na nic uwagi, głos mój będzie głosem wołającego na puszczy—w każdym jednak razie, jeżeli dzieci i wychowańcy wasi, szanowni czytelnicy, z braku dozoru i obarczania ich naukami, pozostaną chorowitemi, niezdolnemi do pracy umysłowej i fizycznej, nie miejcie za złe lekarzom, że nie potrafią ich nieraz uleczyć, a bardziej obwiniajcie siebie samych, żeście nie umieli korzystać z rad wam dawanych i nie zwracali na nie uwagi. Kończąc tych słów parę o wychowaniu dzieci, zaklinam, abyście baczną zwracali uwagę na rozwój sił fizycznych i starali się zapobiegać początkom chorób, którebyście w nich spostrzegać mogli.

Z DOMU I DLA DOMU.

Przekonawszy się z kontrol administracyi *Ogniska Domowego*, iż w gronie czytelniczek naszych figuruje dość pokaźna cyfra zwłaszcza w miastach prowincyonalnych dam, należących do różnych stowarzyszeń filantropijnych mających na celu złagodzenie niejako żelaznej doli wydziedziczonych od losu jednostek, pospieszamy z udzieleniem wiadomości przyrządzania zdrowych, posilnych a przytem nader tanich pokarmów, tym chętniej, że sposób ich przygotowania jest mało u nas znanym.

Odwar kościany. Kości wołowe, cielęce, baranie, wieprzowe w drobne części zmiażdżone kładą się do naczynia pobielanego lub polewanego w takiej ilości, ażeby tylko $^2/_3$ jego objętości zajęły, reszta zaś napełnia się czystą wodą, zamyka szczelnie pokrywą, wstawia do pieca po chlebie lub gotuje się na bardzo wolnym ogniu cztery godziny, poczem odcedza się przez durszlak lub sito, tłusty i klejowaty płyn do oddzielnego naczynia. Potem też same kości zlewa się wodą i gotuje znowu na wolnym ogniu lub wstawia do pieca na sześć godzin a po odlaniu tego drugiego płynu do pierwszego, powtarza się to samo działanie po raz trzeci, gotując takowe osiem godzin.

Ostatni wprawdzie odwar jest słabszy od dwóch poprzednich, ale jest również dobry i zawiera w sobie znaczną ilość pożywnych pierwiastków, które należy pomięszać z dwoma poprzednimi.

Z dwunastu funtów świeżych kości, otrzymuje się tym sposobem czterdzieści kilka funtów dobrej i zdrowej esencyi, która rozcieńczona wodą i ugotowana w proporcyi z kaszą, jarzynami, włoszczyzną i korzeniami daje smaczne zdrowe i posilne pożywienie, przynajmniej dla dwustu osób. W wielu zagranicznych szpitalach Zachodniej Europy, z odwaru niniejszego przyrządzane są dla chorych różnej mocy i tęgości rosoły i buljony, u nas zaś stosując się do gustu miejscowego żywiołu dla zdrowych można przyrządzać barszcz dodając odpowiednią ilość zaczyny lub kwaszonej kapusty.

* *
*

— **Zupa rumfordzka.** Nazwa jej pochodzi od nazwiska wynalazcy tejże zupy, która w Anglii stanowi jedyne pożywienie klas najuboższych, jako nadzwyczaj tania, a obok tego posilna i pożywna. Przygotowuje się w ten sposób:

Kości zwierzęce moczą się przez dni dziesięć w słabym kwasie solnym (wodochlorowym), dla rozmiękczenia ich i rozpuszczenia znajdujących się w nich soli, poczem przepłukują starannie a następnie pod ciężką pokrywą na silnym ogniu rozgotowują, przez co chrząstki czyli ich komurkowata tkanka zamienia się na galaretę. Otrzymany w ten sposób odwar po zastudzeniu użytym być może jako nazimne, znany pod nazwą galarety, żelatyny, osteiny, żulcu, ma wiele podobieństwa do galarety z nóg wołowych, jest smaczny i posilny, rozcieńczony zaś w odpowiedniej ilości wodą i ugotowany w proporcy z kaszą, jarzynami, włoszczyzną i korzeniami daje pożywną, smaczną, zdrową, a przytem nader tanią strawę.

* *
*

— **Kiszki grochowe** zwane *kiszkami księcia, Bismarcka*, wynalazku Günberga kuchmistrza królewskiego w Berlinie składają się:

Wysuszoną mąkę grochową mięsza się z roztopionym szmalcem wieprzowem, dodaje drobno siekanej wędliny lub pekeflejszu, tudzież rozmaitych przypraw, jak soli, cebuli pieprzu, angielskich ziarek, majeranku i t. p. i tą mięszaniną napełnia kiszkę zwierzęcą, którą na dłuższe przechowanie uwędzić należy w wolnym dymie. Chcąc otrzymać zupę z tak przyrządzonej konserwy, kraje się ją na drobne kawałki i w wodzie zagotowywa. Roztwór daje smaczną, pożywną w pół płynną grochówką.

* *
*

— **Kiszki kapuśniakowe** przyrządzają się w ten sposób 32 części mięsa drobno usiekanego, 11 kaszy gryczanej, 45 kwaszonej kapusty, umięszać z roztopionem szmalcem, dodać pieprzu i soli, napełnić kiszkę zwierzęcą i uwędzić w dymie. Przed użyciem tak samo jak kiszkę grochową potrzeba rozgotować w wodzie.

* *
*

— **Kluski z kartofli.** Utrzeć surowych kartofli i masę tę umieszać z żytnią mąką, aby cała ta mieszanina stanowiła zbitą i gęstą całość posolić, gnieść rękami na stolnicy i kłaść łyżką na wrzącą wodę i gotować, a gdy na wierzch wypłyną są już ugotowane.

Drugi sposób jest: Ugotowane do połowy

kartofle, tak aby jeszcze były twardawe, ugniatają się na masę, do której dodawszy w miarę potrzeby soli, nieco pieprzu tłuczonego i odpowiednią ilość rżanej mąki, robią się gałki w ręku czyli kluski dowolnej wielkości, które następnie obsypują się po wierzchu mąką i kładą do wrzącej wody, w której należy je gotować, dopóki na wierzch nie wypłyną.

Oba te gatunki klusek mogą stanowić wyborną przyprawę do wszelkich zup wyrabianych nietylko z odwaru kościanego, osteiny, ale również okraszone roztopioną słoniną dają smaczną i pożywną potrawę.

* * *

— **Ser ekonomiczny.** Kawałek sera, zawsze jest pożądanym do spożycia kęsa suchego chleba przez biedaka, ułatwiając mu nietylko przejście do żołądka, ale dostarczając zarazem pożywniejszego pokarmu. Dla powiększenia przeto ilości sera i uczynienia go w cenie dostępniejszym, można na ten cel użyć z korzyścią kartofli. Dobierają się zatem kartofle, zawierające w swym składzie największą ilość krochmalu, zatem tak zwane, *cebulki saskie*, jako mające w sobie 22% mąki, lub też *różowe marymonty* mające jej 20%, gotują na parze, strzegąc by nie popękały. Po ugotowaniu obrać ze skórki, utrzeć na masę niemającą najmniejszych grudek. Do trzech części na wagę tej masy dodaje się dwie części twarogu, odpowiednia ilość soli i mięsza jak najstaranniej. Do dwudziestu czterech funtów tej mięszaniny dodaje się trzy garści soli, odpowiednia ilość karolku (carum), poczem nakrywa się płótnem i pozostawia dla odleżenia na trzy lub cztery dni. Poczem znowu dobrze się wygniata i mięsza rękami, wkłada w formy serowe lub w prosty zwyczajny worek ściszczajkowy, wstawia pod prasę, a gdy odpowiednio stężeje, kładzie się na suchej desce, trzyma w umiarkowanem cieple, byle nie na słońcu. Dla zapobieżenia zaś, aby się nieszczepał, należy go wysmarować ze wszech stron kwaśną śmietaną i przechować do użytku na czas dłuższy w suchem miejscu.

* * *

Przy tej sposobności poczytujemy sobie za obowiązek podzielić się niektóremi wiadomościami jakich nam raczyły udzielić doświadczone gospodynie, w przyrządzaniu pokarmów w najpowszechniejszem będących użyciu, a zalecających się lepszem smakiem i ekonomiką, mianowicie:

a) Kartofle gotowane parą są nierównie smaczniejsze i pożywniejsze niż gotowane zwyczajnym sposobem. W domowem gospodarstwie łatwo to osiągnąć można w sposób następujący; na blaszce angielskiej kuchni, żelazny garnek napełniony surowymi kartoflami, zlać nie więcej jak czwartą częścią wody, a zwierzchu nakryć szczelnie wysokim rondlem aby zbierająca się para, miała dostateczne miejsca pomieszczenia i w ten sposób gotować. Zbierająca się para pod pokrywą, działa daleko skuteczniej na rozrywanie tkanki drzewnej w roślinie w której znajduje się mączka, a zarazem skutkiem żaru nieporównanie tracą więcej w sobie wody i zatrzymują w całości albumin, a które to składniki gotując wedle dotychczasowej metody, mniej korzystnym podlegają przemianom. Gotując wreszcie wedle podanego przez nas sposobu, zyskuje się na czasie i oszczędności w paliwie.

b) Wszelkiego gatunku kaszom, w które tak zasobne są nasze spiżarnie, dla nadania przyjemniejszego smaku, sypkości i uwolnienia ich od niezbyt miłej klejkowatości, należy w wrzącej wodzie, w której mają się gotować, rozpuścić kawałek przetopionego szmalcu lub masła i dopiero wsypać kaszę i gotować. W ten sposób ugotowana kasza potrzebuje daleko mniej okrasy niż gotowana zwyczajnie i jest daleko smaczniejszą i pożywniejszą.

c) Wszelkie w ogóle jarzyny, aby uczynić pożywniejszemi kłaść do gotowania w wrzącą a nie zimną wodę. Wszelkie bowiem białko tak zwierzęce jako i roślinne, zawierające w sobie pożywne własności, w czasie wrzenia wody, wydziela się i ścina na powierzchni, skąd w postaci szumowin bywa zwykle wyrzucanem.

Podając niniejsze przepisy jesteśmy aż nadto przekonani, że nasze gosposie najlepiej same sobie w takich razach poradzić umieją, które bez żadnego przewodnika tak trafnie urządziły swe kuchnie, że nauka w nich nietylko nic dodać ale nawet zmienić nie zdołała, ile raczej z tych pobudek, aby ich poświęcenia filantropijne względem uboższych współbraci uczynić jak najprodukcyjniejszymi.

* * *

Tort z kartoflanej mąki. 30 Żółtek z jednym funtem miałkiego cukru uwiercić w donicy, następnie wsypać kwaterkę mąki kartoflanej, 1 funt migdałów słodkich bardzo drobno usiekanych dodając kilka gorzkich, dla zapachu wanilii albo skórki cytrynowej, nakoniec pianę doskonale ubitą z 16 białek wlać i wszystko razem łyżką wymieszać, kłaść w formę lub rondel masłem wysmarowany i wstawić do pieca gorącego jak na baby na trzy kwadranse. Masy wlewać tylko do połowy formy.

J. L. K.

ROZMAITOŚCI.

— Zmarły księgarz paryzki **Michał Levy**, o którego śmierci pisaliśmy w N-rze 33 Ogniska Domowego, pozostowił majątku siedmnaście milionów franków. Ponieważ umarł bezdzietnie, pretendują zatem do spadku wraz z wdową dwaj bracia rodzeni nieboszczyka i firma zdaje się będzie nadal utrzymaną.

— Na ogólnem zebraniu **akcyonaryuszów banku galicyjskiego** dla handlu i przemysłu odbytem, w celu wysłuchania sprawozdania czynności dyrekcyi za rok 1874, wniesiono projekt ustanowienia funduszu emerytalnego dla urzędników tegoż banku.

— Dzienniki amérykańskie donoszą o nowym wynalazku ułatwiającym piłowanie drzewa. P. Jerzy Robinson, zamieszkały w New-Yorku, próbował przecinać najgrubsze kloce za pomocą nici platynowej rozpalonej w najwyższym stopniu przez puszczanie na nią prądu elektrycznego. Nić ta, poruszana podobnie jak piła, nietylko że tnie drzewo z niesłychaną szybkością, lecz nadto jeszcze kierowana dowolnie w różne strony, nadaje mu odpowiednie kształty, przecinając z lekka jego powierzchnię. Zdaje się, że operacye chirurgiczne, dokonywane w ten sposób, podały myśl wynalazcy zastosowania go do przecinania drzewa.

— W dniu 18 maja r. b., na kolei prowadzącej z Mysłowic do Krakowa, miał miejsce następny tragiczny wypadek. Pociągiem pruskim eskortowano przestępcę kryminalnego Izraeła Brauna, który acz odważnego serca do popełniania czynów prawem zabronionych, lecz w obec widma karzącej sprawiedliwości, nader płochych nóg, aby nie starał się uniknąć jej groźnego oblicza. Minąwszy zatem stacyę Trzebinią, Braun nagle wyskoczył z wagonu, bezwzględnie choć pociąg był w największym pędzie. Eskortujący go strażnik, snać sumienny służbista, i przekonany, że służba nie drużba, a ciężki obowiązek do spełnienia, miał tyle odwagi i poświęcenia, że odważył się wyskoczyć za zbiegiem. Braun zbytnią płochość swych nóg przypłacił życiem, strażnika zaś oblanego krwią i mocno pokaleczonego, znaleziono pod groblą kolei i tegoż dnia wieczorem przywieziono do Krakowa.

OD REDAKCYI.

Ognisko Domowe, wychodzić będzie w drugiem półroczu r. b. w tym samym zakresie i według tego samego programu jak dotychczas. Redakcya dołoży wszelkich starań, aby pismo rzeczone uczynić o ile można najpożyteczniejszem i dlatego ma zamiar wprowadzić pewne zmiany i ulepszenia, o których czytelnicy w czasie właściwym uwiadomieni zostaną.

Cena prenumeraty wyrażoną jest na pocztku każdego numeru pod kliszą tytułową.

PP. prenumeratowie życzący sobie odbierać nadal bez przerwy *Ognisko Domowe*, raczą pospieszyć z wniesieniem przedpłaty na kwartał trzeci roku bieżącego. Wszelkie korespondencye w tym względzie najlepiej nadsyłać *wprost* pod adresem Redakcyi t. j. do dnia 8 lipca r. b. pod *Nr. 8 przy ulicy Bielańskiej*, po tej zaś dacie pod *Nr. 14 przy ulicy Ś-to-Jerskiej*.

TREŚĆ NUMERU: **Marzenie.** (wiersz).—**W sprawie sierocej.**—**Apteczka domowa,** opracował S. W. Łukowski, (dalszy ciąg).—**Etapy suchotnicze.** Listy z podróży Kazimierza Z. (dalszy ciąg).—**O wietrze.** (dokończenie).—**Sztuki piękne.**—**Uwagi dla rodziców i nauczycieli** przez D-ra Gustawa Münch. (dalszy ciąg).— —**Z domu i dla domu.** — **Rozmaitości.** — **Od Redakcyi.**—Wodcinku: **Z kroniki dwutygodniowej,**— W dodatku **Przysięga Debenhama** ark. 12.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 5 (17) Іюня 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 37).

— To może idziecie do pastora?

— Idę do Benhampton, jeżeli będę tam mógł trafić odpowiedział nieznajomy z niecierpliwością. Jeżeli nie znacie drogi, to powiedzcie odrazu.

Człowiek z kosą rozśmiał się, przełożył kosę z lewego ramienienia na prawe i powiedział.

— Od dziecka tu mieszkam, przeszło czterdzieści lat, zdaje mi się, że powinienem znać drogę. Jesteście w Benhampton od czasu kiedyście przeszli tę bramę.

— Gdzież więc jest wieś?

— Tam w dole, pod górą.

— A kościół?

— Kościół jest koło folwarku pana Bowstead.

— Którędy więc droga do folwarku?

Wieśniak podrapał się w głowę i zamyślił. Znał doskonale każdą piędź ziemi w parafii, ale do opisów nie miał żadnej zdolności.

— Trzeba iść drogą, powiedział, aż do młyna, a potem ścieżką i przez pastwisko, ale najbliższa droga, jest przez kamionki.

— Pójdę więc kamionkami.

A że droga szła dołem, nieznajomy szybko się wdrapał na pochyłość okrytą murawą.

— Jeżeli tamtędy idziecie mój bracie, dodał, to ja z wami pójdę. Może jesteście z ludzi pana Bowstead?

Człowiek z kosą, jakby uderzony pewnym wyrazem powagi nieznajomego, dotknął się czapki i odpowiedział z większem uszanowaniem.

— Tak panie, jestem z ludzi pana Bowstead.

To powiedziawszy poszedł dalej, prowadząc podróżnego ścieżką zaledwie widzialną przecinającą stromą pochyłość pagórka. U szczytu tegoż widać było długi pas zasadzony świerkami; dalej grunt jeszcze się w górę wznosił, kiedy droga na dole wiła się wśród doliny szerokiej i ginącej w oddaleniu, żyznej, ozłoconej promieniami słońca i nadzieją przyszłego żniwa. Na lewo, o jakie półtorej mili widać było góry otaczające brzeg Wyei, której jednak dojrzeć nie było podobna.

Temple Debenham zauważył to wszystko, wstępując na pagórek i chciwie szukając wieży kościelnej lub dachu jakiego. Sam się dziwił żywemu zajęciu, z jakiem przyglądał się wszystkim przedmiotom; o każdem drzewie, każdem polu, każdym płocie mówił: To kiedyś było ich. Krajobraz nabierał powagi dlatego, że ci których już nie było patrzeli nań, wieśniak nawet postępujący obok niego, dlatego że był synem tej roli, wydawał się innym od zwykłych wieśniaków w oczach Templa Debenham.

— Mówiliście zdaje się żeście się tu urodzili, w tej parafji? zapytał nagle.

Człowiek odpowiedział znakiem potwierdzającym.

— Tak, tak, powiedział, urodziłem się tutaj, z pewnością i mój ojciec także.

— Nie przypominacie sobie zapewne dawnej rodziny?

Człowiek spojrzał na niego i jakby nie rozumiejąc potrząsł głową.

— Jaka dawna rodzina? zapytał.

— De Benhamowie, dawni panowie tej okolicy. Musieliście o nich słyszeć?

Znów potrząsł głową.

— Nie, powiedział nigdy takiego nazwiska nie słyszałem.

Zaczął gwizdać.

Młody człowiek westchnął i głębokie uczucie smutku go ogarnęło. Matka jego miała słuszność, rodzina, jako rodzina wygasła, i w miejscu jej dawnej świetności niepamiętano o niej; nie myślał, żeby imię nawet było zapomnianem.

Doszli już do szczytu pagórka i weszli w lasek; wieśniak, który teraz szedł naprzód, tak ścieżka była wąską, poprawił kosy, i na wpół się odwracając, powiedział:

— Może chcecie mówić o ludziach do których należał stary zamek, ale to nie za moich czasów było.

— Jaki stary zamek? zapytał żywo Debenham.

— Zamek Benhampton, gdzie mieszka pan Bowstead.

Zamek Benhampton! Matka o tem zupełnie nie wspomniała. Przypomniał sobie, że w liście mówiła o ruinach, ale nie myślał aby to były ruiny tak znaczne jak to imię zamku Benhampton zdawało się wskazywać.

— Co znaczy, że pan Bowstead tam mieszka? zapytał po chwili milczenia. Czy zamek jest ruiną czy też po prostu folwarkiem?

— I jednym i drugim.

— I jednym i drugim?

— Tak, pan mieszka w jednym kącie a resztę zostawia nocnym ptakom.

— Młody człowiek zatrzymał się trochę, zdziwiony i zmieszany; zapał przeminął, nie miał już ochoty więcej się wypytywać, za wiele już słyszał.

Jak dumni i potężni, jak bogaci w skarby tego świata musieli być ci De Benhamowie dawnych czasów! A teraz? a teraz nietylko imię ich było zapomnianem w dawnej ich siedzibie, ale nawet starożytny ich zamek służył za mieszkanie panu Bowstead i ptakom nocnym. Gorzkie to były wspomnienia i Debenham zaczął myśleć, że jego matka nie zupełnie się myliła w swych obawach. Lepiejby może było dla niego, żeby nigdy nie wiedział o tem wszystkiem i żeby nigdy jego noga w tem miejscu nie postała.

Wyszli z lasku i idąc ciągle ścieżką obeszli drugi pagórek nie mniej stromy jak pierwszy; nareszcie przebyli obszerny wyłom kamienny wykuty w pagórku, jakby starożytny amfiteatr i od dawna zarosły krzakami i drzewami i stanęli przed ogrodzeniem za którem pasły się owce.

— Oto kościół, powiedział wieśniak, zatrzymując się, a tam--zamek.

Debenham jednym susem przeskoczył ogrodzenie.

ROZDZIAŁ XX.

Tablica w kościele.

Zamek Benhampton na szczycie pagórka; kościół trochę niżej, ukrywający się między drzewami; stodoły i sterty pana Bowstead rozrzucone dość malowniczo pomiędzy ruinami; owce pana Bowstead pasące się po zielonej murawie; tłusty dereszowaty kuc pana Bowstead wyglądający spokojnie z cmentarza; w głębi znowu pagórki, znowu lasy sosnowe i jodłowe, na pierwszym planie schodząc ku dolinie, bogate pola ciemno złotawej pszenicy i jeszcze zielonego jęczmienia, wonnej koniczyny białej lub czerwonej, kartofli i buraków, i czarniawe ugory; w samej dolinie zaś żyzne i zielone łąki, rojące się pasącem bydłem, i oblane krętym strumykiem o brzegach obrośniętych wierzbami; za tem wszystkiem, szeroki widnokręg i dalekie góry. Taki był obraz, jaki ujrzał na pierwszy rzut oka, Temple Dabenham. Po tem pierwszem, ogólnem spojrzeniu zaczął się rozpatrywać w szczegółach.

Zamek Benhampton był długą, rozrzuconą na kilku morgach gruntu szarą ruiną, otoczoną wysokim murem. Nad tym murem, zachowanym w najlepszym stanie w kilku miejscach a w innych do szczętu prawie zwalonym sterczały, gdzie niegdzie wieżyczki bez okien, a trochę w tył, ku środkowi wewnętrznego dziedzińca wznosiła się wielka wieża zamkowa, silna i ciężka i od góry do dołu zupełnie pokryta bluszczem. Były to szczątki malownicze i okazałe i artystycznie położone; tak przynajmniej osądził Temple Debenham, który w Niemczech napatrzył się feudalnych zamków.

Kościół wydawał się bardzo małym i o kilka wieków młodszym; winien to był zapewne temu, że był kilka razy odnawiany, i tak odnawiany, że zawsze coś tracił z dawnego charakteru. Nie miał żadnej wieży i tylko mała drewniana dzwonica, z jednym tylko dzwonem, wznosiła się po nad nim; jak wieża zamkowa był także bluszczem porosły.

Pochyłość pagórka na której wznosiły się te dwie budowle, była nieprzerwanym ciągiem świeżej murawy, tworzącej pastwisko obszerne, zasiane dość gęsto kląbami starożytnych drzew: był to widocznie dawny park zamkowy.

Przez chwilę, Debenham patrzał nieruchomie i w milczeniu, jak podróżny gdy dojdzie do szczytu góry i ujrzy u stóp swoich krajobraz do którego z takim znojem się dostał. Odetchnął potem głęboko i odwracając się do wieśniaka stojącego jeszcze przy nim rzekł:

— Czy kościół otwarty.

— Prawie zawsze jest otwarty.

— A jeżeli nie, czy dostanę kluczy w zamku?

— Tak, proście tylko pana. Da wam swój klucz; jest jednym z radnych.

— Dziękuję za wskazanie mi drogi, mój przyjacielu powiedział Debenham, szukając po dość pustych kieszonkach od kamizelki. Macie na piwo żeby się ochłodzić w taki upał.

Wieśniak spojrzał na szylinga; przez całą drogę rozmyślał nad tem czy ten zakurzony i pieszy podróżny był lub nie gentlemanem: szyling mu to wyjaśnił. Ukłonił się więc drugi raz i chowając pieniądz w głębokościach kieszeni utajonej pod płócienną bluzą, wybąkał przez zęby:

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję, odwrócił się i poszedł w swoję stronę.

Temple Debenham zaś wolno zwrócił się ku kościołowi. Gdy się zbliżył postrzegł, że drzwi zewnętrzne stały na pół otwarte ale drugie były zamknięte. Przy bramie wiodącej na cmentarz zatrzymał się chwilę spoglądając na groby. Nie było ich wiele; dziesięć lub dwanaście kamieni z napisem, parę nagrobków otoczonych sztachetami, kilkanaście mogił od dawna porosłych trawą. Młodzieniec wiedział że nikt z jego rodu tutaj nie leżał; matki list kazał mu pomników ich szukać w kościele, a jednak wzrok jego zatrzymał się z zajęciem na tych skromnych grobach; w nich spoczywali poddani i słudzy rodziny, przez wiele pokoleń.

Dereszowaty kuc obwąchał go, jakby poznając obcą osobę i kiedy bramę otworzył usunął się, żeby go puścić. Debenham szybko przeszedł ścieżkę i chwycił za klamkę; klamka poruszyła się i drzwi stanęły przed nim otworem.

Serce gwałtownie mu zabiło kiedy zdjąwszy kapelusz przestąpił próg kościoła.

Zrobił kilka kroków i zatrzymał się, patrząc na około siebie, w dół i w górę. Kamienie na których stał, pokryte były napisami i herbami; zbutwiałe tarcze wisiały na ścianach, wspaniałe pomniki zdobiły świątynię. Czy ci wszyscy co tam spoczywali byli to de Benhamowie? Czy te herby ze szkła kolorowego wprawione w okna, przez które słońce południowe ciskało czerwone i pomarańczowe promienie, te godła, klejnoty herbowe, czy to wszystko po nich było pamiątką? Czoło jego zachmurzyło się gdy pomyślał że on, dziedzic, ostatni potomek wszystkich tych umarłych nie znał nawet ich imion i dostojeństw.

Ale nim się zbliżył do tych pomników, nim spróbował napisy odczytać, Temple Debenham rzucił okiem po kościele, szukając tej jedynej tablicy, którą przedewszystkiem przyszedł tu zobaczyć.

— Pod oknem północnem, mówił list matki, pod oknem północnem na lewo od ołtarza. Stał jeszcze przy samem wejściu ale zaraz ujrzał małą kwadratową tablicę z obwódką z czarnego marmuru i nawet z tego oddalenia mającą pozór nowości. W jednej chwili stanął przed nią czytając napis.

Napis ten był krótki i prosty, ale wyrazy jego cały żywot streszczały.

Tu spoczywają zwłoki
Szanownego Reginalda Templa
De Benham
dwudziestego ósmego Barona De Benham
z Benhampton
w Hrabstwie Monmouth
i Hrabiego Świętego Cesarstwa Rzymskiego.
Urodził się 6-go kwietnia 1809 r.
Umarł 6-go listopada 1852 r.

Młody człowiek przeczytał ten napis i powoli żywy rumieniec okrył jego lica i czoło, a gdy zniknął twarz jego bledszą była niż zwykle.

Długo stał na tem samem miejscu, nieruchomy, zatopiony w głębokiem rozmyślaniu. Kilka razy odczytał te krótkie słowa i przypominał sobie fakty jakie się w nich mieściły; ale były to fakty, których znaczenia nie mógł od razu pojąć. Nareszcie odetchnął głęboko, usiadł na stopniach wiodących do ołtarza i ukrył twarz w rękach.

Słońce nie zaglądało już przez kolorowe okno i z innej strony cień rzucało na posadzkę, kiedy podniósł głowę, powstał wolno, rozmarzony, jakby dopiero co się ze snu obudził.

Obejrzał wtedy nagrobki po kolei tak jak stały, zatrzymując się, żeby przeczytać niezatarte jeszcze napisy z wyraźnym zamiarem uniesienia z sobą jasnego i trwałego wspomnienia nietylko każdego pomnika, ale imienia i czynów tych, którzy pod niemi spoczywali. Dobył ołówek i pugilares z kieszeni, czasami notował jakie nazwisko lub datę i raz naryso- wał spiesznie herbową tarczę, a wszystko to czynił z pewnym porządkiem, poważnie i z dziwnym wyrazem ukrytej a silnej woli, jakiego nigdy jeszcze nie widziano na jego twarzy.

Długie to było zadanie, bo różnorodnych nagrobków było wiele a wszystkie mniej lub więcej zniszczone. Napisy były także trudne do odczytania, odznaczały się szczególną ortografią i zawiłemi skróceniami, a w niektórych razach zupełnie nieczytelne. Zaledwie naprzykład mógł odgadnąć, że śliczny gotycki pomnik nad którym wznosił się baldachin wyrzeźbiony jak najdelikatniejsza koronka, był poświęcony pamięci Alana De Benham zabitego gdzieś na wojnie A. D. 1360. Z trudnością także odkrył, że na drugim grobowcu wizerunki rycerza i żony jego klęczących naprzeciwko siebie z gromadką dzieci, złożoną z czterech synów za ojcem i czterech córek za matką, wszystko z kamienia malowanego, ale bardzo uszkodzone, przedstawiały Marmaduka De Benham i Elżbietę jego żonę z ich rodziną oraz świadczyły, że oboje umarli tego samego roku i dnia za panowania Henryka VII. Ale daty były wszystkie zatarte i cały napis tak poszczerbiony i zamazany, że znawca znalazł by się w kłopocie chcąc go odczytać. Obok tych posągów, (bo pomniki następowały po sobie bynajmniej nie w chronologicznym porządku) stała prawdziwa budowla z kolumnami, płaskorzeźbami i ozdobnemi arkadami, wśród których leżał posąg bez głowy Szymona Karola De Benham, trzynastego barona tego imienia w hiszpańskim stroju, sztywnej krezie i trzewikach na wysokich korkach. Pan ten jak opiewał łaciński napis, służył za młodu i za życia ojca w wojsku Cesarza Rudolfa II i odznaczywszy się w walce przeciw Turkom przy oblężeniu Granu A. D. 1595, za oddane tam usługi, ozdobiony został dziedzicznym tytułem hrabiego Świętego Rzymskiego Cesarstwa. Następnie tablica wprawiana w ścianę z popiersiem Algerona Sackwilla De Benham w żabotach i peruce, opiewała zasługi tego wielkiego męża swego czasu, dowódcy drugiego pułku gwardyi konnej, podkomorzego dworu Jego Wysokości Jerzego Duńskiego i gubernatora hrabstwa Monmouth i wyspy Guernesey. Wielki i możny ten pan, jak go nazwano, umarł w Peterporcie, A. D. 1747, i ciało jego było z wielkiemi honorami przewiezione do Benhampton i pochowane w grobach rodzinnych.

Prócz tych wspaniałych pomników, było wiele innych skromniejszych, po większej części w stylu gotyckim, niektóre bogato rzeźbione i ozdobione herbami, inne zachowały ślady malowania i złocenia, inne jeszcze dźwigały leżące wizerunki rycerzy i średniowiecznych pań, a nad jednym wznosił się posąg poważnego opata w infule i z pastorałem.

Dawniejszy od tych wszystkich i więcej na siebie uwagi zwracający był prosty ukryty w ciemnym zakątku pomnik z czarnego marmuru w kształcie trumny, na którym leżał rycerz uzbrojony od stóp do głów, ze szpadą i ostrogami, z rękami złożonemi do modlitwy, i z psem u nóg swoich. Żaden posąg w kościele nie był tak zniszczonym, nie pozostało jednego z rysów jego twarzy, ani jednego palca ręki obleczonej w rękawicę; pies był prawie na kawałki porąbany, a jednak przed tym grobem Temple Debenham zatrzymał się dłużej niż przed innemi, bo tu jak świadczył napis tegoczesny wprawiony wyżej w ścianę, leżały popioły tego Godfryda Wilhelma De Benham, któremu baronowstwo zostało nadane w 1237 roku. Walczył, mówiła tablica, za króla w bitwie pod Erescham, A. D. 1265, towarzyszył Księciu Edwardowi w jego wyprawie do Ziemi Świętej w 1270 roku i był pomiędzy pierwszymi z towarzyszy jego, udarowanymi łaskami księcia, gdy tenże powrócił do kraju jako król Angielski w 1273 r.

Do tego to ciemnego zakątka gdzie spoczywał umarły krzyżowiec, a nie do tablicy pod oknem północnem, powrócił Temple Debenham, gdy obszedłszy wszystkie pomniki, znalazł się napowrót obok drzwi.

Przepaść blisko sześciowiekowa przedzielała go od tego legendowego wojownika, a jednak subtelniejsza jakaś sympatya, niż ją uczuwał dla bliższych sobie bohatera z pod Granu, gubernatora wyspy Guernesey i innych przodków tu spoczywających, przyciągała go do tego grobu. Jakimże człowiekiem, pytał sam siebie, był ten waleczny protoplasta tak dawnego rodu? Czy był nietylko odważnym ale i mądrym, dobrym, szczęśliwym? Czy doczekał się sędziwego wieku, stawiając swój dom, sadząc swe drzewa, zajęty pracami pokojowemi, otoczony liczną rodziną? Gdyby tę trumnę otworzono, coby w niej znaleziono? Proch i kości, szablę zardzewiałą, złote ostrogi? Któż mógł na to odpowiedzieć? Ani żaden z tych poważnych mężów stanu, ani ci dworacy w perukach i koronkach, a mniej jeszcze od nich on, biedny nieznany artysta, zubożały dziedzic tych próżnych dostojeństw?

Tak smutnie i gorzko marzył przy grobie pierwszego ze swych przodków, ostatni z Debenhamów. Nareszcie odwrócił się, bo dzień ku końcowi zmierzał a chciał jeszcze obejrzeć ruiny zamku, ale nim wyszedł, ostatnie jego spojrzenie spoczęło jeszcze na grobie krzyżowca.

ROZDZIAŁ XXI.

Przysięga.

— Wygasła rodzina, panie, wygasła rodzina i wygasły tytuły. Nikt z nich niepozostał wszyscy wymarli; wymarli i zapomnieni zostali. Takie to życie. Użyli go oni jednak ci De Benhamowie, sześćset lat, panie, sześćset lat, to długi przeciąg czasu, i umieli z niego korzystać i wygodnie się urządzić, dopoki ich stało. Wszystko im było dobrem, i do wszystkiego się brali, kościelne dobra, gubernatorstwa, bogate dziedziczki, monopole różnego rodzaju. Mogę powiedzieć, że wiem o tem wszystkiem jak majątek nabyli i jak go stracili, a prędzej on poszedł niż przybywał. Jest tam u mnie na górze, na strychu, cały kufer pełen ich zbutwiałych papierów: nadania, dyplomy, przywileje, listy i Bóg wie co. Nie jeden wieczór zimowy przepędziłem z mojemi dziewczynami czytając je. Zrobiło to z nas prawdziwych antykwaryuszów.

Tak przemawiał głośno i grubym głosem pan Bowstead; włożył ręce w kieszenie, nogi rozstawił, łańcuszek od zegarka i złote guziki u jego surduta błyszczały na słońcu, a cała jego wysoka i szeroka osoba zdradzała człowieka poważanego, zadowolonego z siebie i z drugich i dobrze się mającego. Był on zamożnym na swój stan, był synem rodziców równie zamożnych i dawno w tej części kraju osiadłych. Wychowanie odebrał dość staranne, umiał przemówić na zgromadzeniach gminnych, na obiadach rolniczych, w komitetach wyborczych; równie dobrze był znany na polowaniach, jak we wszystkich sprawach tyczących się gminy lub parafii, nareszcie był usłużnym, dobroczynnym i gościnnym, lubionym przez swoich służących i robotników, i wspominanym z wdzięcznością przez biednych, w czasach choroby i niedostatku.

— Zdaje mi się, że mam przyjemność mówić z... z właścicielem tego miejsca? powiedział Temple Debenham spoglądając to na ruiny, to na pana Bowstead, a na tego ostatniego z wewnętrznym wstrętem.

— Kupiłem, zamek, panie, takim jakim jest i folwark, po śmierci pułkownika Smithson, odpowiedział p. Bowstad, bawiąc się pieniędzmi w kieszeniach. Nie tęgie to było kupno. Grunt lekki, nieurodzajny tutaj w górze; w dolinie tylko są dobre pastwiska; razem siedemset dwadzieścia morgów. Co do zamku, widzisz pan czem jest: materyałem na budowle, niczem więcej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою, Варшава 1 (13) Іюня 1875 г.